DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII — Warszawa, 12 października 1952 r. — Nr 41 (359)

W NUMERZE m. in.

I. RUTKIEWICZ — Pokusa faszyzmu
A. GERARD — O „Młynie nad Utratą"
J. KRZYSZTOŃ — Białogęby
M. JAWOR—Dwa nurty wielkiej rzeki
M. NOWACKI — Światowy polip
T. MYŚLIK — Wysoka Łąka bez retuszu
J. POGORSKI — Japonia po traktacie

Ks. Jan CZUJ

Katolicy we Froncie Narodowym

GŁĘBOKA znajomość obywatelskich obowiązków, poczucie odpowiedzialności za przyszłość naszej Ojczyzny nakazują nam, katolikom polskim tak duchownym jak świeckim skupić wszystkie swe wysiłki we wspólnym dziele całego narodu, którym jest wytrwała praca dla jak najwspanialszego rozkwitu Polski i umocnienia pokoju na świecie.

Zdajemy sobie w pełni sprawę z historycznej wagi czasu, który przeżywamy i jasno widzimy drogę, którą kroczyć nam wypada. Na zachodzie Europy zbierają się coraz cięższe chmury. Niemiecki militaryzm odzywa się dziś przy zachęcie i wyraźniej pomocy swych amerykańskich protektorów. Hitleryzm, który skąpał Europę w morzu krwi znów podnosi głowę. Coraz jawniej rozlegają się w Niemczech zachodnich, głosy rewizjonistów, wyciągających zachłanne ręce po prastare polskie ziemie, odzyskane przez nas po wiekach niewoli, zagospodarowane i rozwijające się pod każdym względem dzięki trudom całego narodu. Nasza odpowiedź nie polega na słownych deklaracjach. Odpowiedź tę daje naród swą codzienną pracą, zwiększającą siły Ojczyzny, a tym samym siły pokoju. W pracy tej z jednakim entuzjazmem i poświęceniem biorą udział wszyscy Polacy.

Zakrojone na olbrzymią, nieznaną dotąd w naszej historii skalę plany gospodarcze, których wykonanie wzmacnia potencjał przemysłowy i obronny kraju, realizowane są przez cały naród, przez wszystkich Polaków, wierzących i niewierzących.

Zdajemy sobie sprawę, że ci którzy pragnęli by utopić świat we krwi i nową rozpętać zawieruchę, z nienawiścią obserwują tę cementującą się jedność narodu, ponieważ grając na uczuciach religijnych wierzących Polaków, chcieliby za wszelką cenę siać niezgodę. Ale to nie uda im się. Przyczynienie się do utrzymania pokoju wewnętrznego jest jednym z najważniejszych zadań ciążących na katolikach polskich, a w obliczu tej zdecydowanej woli, wszelkie próby jątrzenia i siania zamętu zostaną udaremnione w zarodku. Podpisane w kwietniu 1950 roku Porozumienie między Rządem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej a Episkopatem Polski wyznacza jasno pozycję katolików w Polsce Ludowej. Każdy katolik na swym odcinku winien przyczynić się do najpełniejszej realizacji Porozumienia, dając tym samym wkład w dzieło utrwalenia pokoju wewnętrznego.

Obok codziennej zawodowej pracy, katolicy polscy dali niejednokrotnie wyraz swym patriotycznym uczuciom przy okazji szeregu doniosłych wydarzeń o znaczeniu nieraz międzynarodowym, np. w akcji zbierania podpisów pod Apelem Sztokholmskim i w Narodowym Plebiscycie Pokoju.

NA szczególną uwagę i podkreślenie zasługuje w ramach akcji Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju działalność Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP, istniejącej od dwu lat i mającej na swym koncie szereg poważnych osiągnięć takich jak zjazd w Lublinie i grudniowy zjazd we Wrocławiu w obronie Ziem Zachodnich, jak szereg zebrań w terenie, przyczyniających się do uaktywnienia coraz szerszych kręgów duchownych i świeckich katolików, jak wreszcie wydanie różnych publikacji spełniających niewątpliwie ważną rolę dla procesu jednoczenia Narodu. W chwili obecnej w życiu Polski zbliża się moment dużej doniosłości. Po uchwaleniu nowej Konstytucji nastąpią wybory do Sejmu. Katolicy polscy ze zrozumieniem polskiej racji stanu włączają się we Front Narodowy, którego program wyborczy wyraża i zapowiada realizację najistotniejszych celów narodowych. Odbyta niedawno w Warszawie Konferencja Intelektualistów i Działaczy Katolickich w ogłoszonej przez siebie rezolucji wezwała wszystkich świeckich i duchownych katolików w imię zasady, że cele Frontu Narodowego są wspólnym, nadrzędnym dobrem wszystkich obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — do skupienia swych wysiłków wokół podstawowych zadań narodowych.

Będziemy umacniać polskość naszych Ziem Zachodnich przeciwstawiając się wszelkim zakusom zachodnioniemieckiego rewizjonizmu. Zdajemy sobie dobrze sprawę z wagi jaką w dziele zachowania pokoju ma zadanie utrzymania pokoju wewnętrznego. Dlatego też będziemy zdecydowanie występować przeciw wszelkim próbom inspirowanym przez wrogie Polsce ośrodki zagraniczne siania zamętu czy sabotowania wysiłków całego narodu łożonych w odbudowę. W sprawach polskiej racji stanu, tzn. tam gdzie chodzi o niepodległość i rozwój kraju nie ma żadnych różnic między obywatelami naszej Ojczyzny.

Katolicy polscy dokładać będą nadal wszelkich starań by umacniać Porozumienie między Państwem a Kościołem, przez jego pełną realizację. W Porozumieniu bowiem widzimy jeden z najistotniejszych czynników budowy jedności narodu i zasad współżycia Polaków o różnych światopoglądach.

Cele Frontu Narodowego katolicy polscy będą realizować w wytrwałej codziennej pracy, nie cofając się przed żadnymi trudnościami czy wyrzeczeniami, których wymaga nieraz dobro sprawy. W ten sposób katolicy polscy budować będą lepsze jutro swojej Ojczyzny.

Janina KOLENDO

O aktywności kulturalnej

ROZWAŻAJĄC perspektywy aktywności kulturalnej katolików polskich trzeba stale pamiętać, że są one warunkowane naszym stosunkiem do zadań Frontu Narodowego. Chodzi zatem o sprawy tak konkretne jak: wielkie wytyczne gospodarcze Planu 6-letniego oraz mobilizacja wszystkich sił narodu dla przeciwstawienia się zagrożeniu wojennemu związanemu ściśle z akceptowanymi przez polityków amerykańskich neohitlerowskimi zakusami na Ziemie Zachodnie.

Wspomniane uwarunkowanie jest tak wyraźne, że nikt, kto nie chciałby go brać pod uwagę, nie powinien liczyć na szansę efektywnej działalności w dziedzinie kultury. Szerokość perspektyw kulturalnej aktywności katolików w Polsce Ludowej, jest w konsekwencji, niemal wprost proporcjonalnie uzależniona od stopnia naszego wkładu w realizację owych ogólnonarodowych celów. Zgóry więc np. są skazane na przegraną wysiłki tych jednostek, które w oczekiwaniu na trzecią wojnę światową chciałyby restytuować klimat kultury katolickiej związanej bezpośrednimi węzłami z ustrojem kapitalistycznym, wysiłki jednostek, które np. sprawę Ziem Zachodnich traktują jako obcą i koniunkturalną.

Patrząc wstecz na okres 8 lat stwierdzić trzeba na szczęście, że olbrzymia większość wierzących obywateli w ogromnym, niejednokrotnie heroicznym wysiłku współtworzy nowe wartości w dziedzinie ekonomicznej odnowy Polski i zagospodarowania Ziem Zachodnich, codzienną pracą faktycznie decydując o realizacji zadań stawianych przez Front Narodowy. Tym bardziej więc, niemal pod groźbą znalezienia się na marginesie tego życia, które jest także konkretnym życiem polskiej społeczności katolickiej, obowiązuje nas w aktywności kulturalnej jeszcze mocniejsze związanie się z tymi zagadnieniami od których zależy los każdego Polaka. W żadnym wypadku nasza aktywność w dziedzinie kultury nie może izolować katolików od uczestnictwa w tworzeniu nowych form życia społecznego, praktycznie powstających w codziennym dniu pracy każdego z nas. Warto też podkreślić przy tej okazji, iż tam właśnie katolicy mają dobrą okazję sprawdzenia jak dalece wiara ich jest autentyczna, wolna od szkodliwych związków z przemijającymi formami historycznymi.

Chcąc uniknąć niepotrzebnych nieporozumień na temat pojęcia: katolicka aktywność kulturalna, nie siląc się na definicję tego pojęcia, niech wolno będzie choćby per negationem odgrodzić się od niektórych jego interpretacji. Tak więc w zakres używanego tu terminu nie powinny wchodzić sprawy dotyczące życia katolika Łaską, która jakkolwiek jest najbardziej realną rzeczywistością, z istoty swojej, poza Sakramentem Pokuty i procesem kanonizacyjnym nie podpada pod osąd ludzki. Z drugiej strony, nie będzie nas również interesowała pozbawiona funkcji społecznej jednostkowa twórczość w dziedzinie sztuki czy nauki. Tutaj warto wspomnieć o negatywnym stosunku etyki katolickiej do hasła „sztuka dla sztuki".

W rozumieniu niniejszych rozważań katolickim działaczem kulturalnym może być katecheta, powieściopisarz, pracownik naukowy KULu, matka wychowująca dzieci, publicysta i wydawca, kaznodzieja i malarz, organista i profesor Seminarium duchownego. W myśl ustaleń poczynionych na wstępie — wszyscy oni realizując wartości katolickiej kultury mają jednocześnie możność dawania wyrazu swemu odpowiedzialnemu traktowaniu zadań ogólno-narodowych. W części szczegółowej — na przykładach, dosadniej wyjaśniony zostanie problem sygnalizowanej rozległości działań kulturalnych.

WYDAJE się, że jedną z istotniejszych funkcji kulturalnej aktywności katolików jest podnoszenie poziomu wiedzy, „nauka myślenia". I chodzi tu bynajmniej nie o myślenie typu „zakrystyjnego", ale przede wszystkim o przyswajanie tak bogatej i różnorodnej problematyki blisko dwóch tysiącleci rozwoju myśli katolickiej. Chodzi o to aby tę myśl, nieraz latami odległą, przybliżać ludziom współczesnym t.zn. tym, którzy jej t e r a z potrzebują, wyrażać ją w zrozumiałym dla nich języku. W konsekwencji, ciąży na nas obowiązek inspirowania takiej twórczości kulturalnej, która najbardziej pomoże człowiekowi współczesnemu w rozeznaniu się w złożoności problematyki dnia dzisiejszego.

Czyż można np. nie zauważyć jakżeż wymownego odradzania się kultu poszczególnych świętych czy nawet niekanonizowanych wyznawców w pewnych epokach i przygasania tegoż kultu w innych. Napewno odmienni ludzie wyrastają z uwielbienia dla Gotfryda de Bouillon i Katarzyny Sieneńskiej.

Codzienne życie z wszystkimi jego troskami i trudnościami, obowiązkami i nadziejami — to najwłaściwsze pole kulturalnego działania. Oczywiście działanie owo kiedy chce nieść wiedzę i zdobywać — nie może być tylko popisem, deklaracją czy zręcznym zabiegiem ale musi nieść pomoc człowiekowi, nieść pomoc wyznawcy żyjącemu współcześnie, w konkretnie określonych warunkach — o czym wspominaliśmy przed chwilą.

Działalność kulturalna kształtuje umysł, pomaga rozeznać się w uczuciach, budzi je albo paczy. Trzeba sobie jasno uprzytomnić jak dalece zobowiązująca i wielokierunkowa jest odpowiedzialność za takie sterowanie ludźmi. Można konstruować i leczyć, lecz można także zaszczepiać ludziom jad niewiary w istnienie możliwości ukazywania Boga inaczej jak tylko w gromie bomby atomowej. Można budzić tęsknotę do „krucjaty" i wyrżnięcia wszystkich niewierzących, można także nie kształcić żadnych innych uczuć poza nadzieją wynikłą z przepowiedni jakiejś mitycznej zakonnicy, że zdarzy się coś takiego, iż wszystkie trudności znikną same. Można obezwładniać apokaliptycznymi wizjami, szerzyć kult bezsiły człowieka, zachęcać do zamknięcia się w estetycznej kontemplacji świata, a można także ukazywać potęgę miłości i szukać sposobów wyrażania piękna w służbie dla dobra bliźniego.

I wreszcie najtrudniejsze: kształcenie woli, to jest tego ważkiego czynnika, który spina zamiar ze skutkiem. Niesposób sobie wyobrazić autentycznego katolicyzmu u człowieka o woli niewykształconej, słabej, rozleniwionej. Z tego prostego stwierdzenia wynika doniosłość zadania kształcenia woli w katolickiej działalności kulturalnej.

MÓWIĄC o pomocy jakiej należy oczekiwać od katolików w realizacji zadań ogólnonarodowych, trzeba wyjaśnić, że nie chodzi tu o mechaniczne powielanie wkładu, wnoszonego przez aktyw marksistowski. Wychodząc z różnych założeń światopoglądowych, niejednokrotnie w różny sposób winniśmy się starać zwalczać te trudności które stanowią przeszkodę w twórczym rozwoju naszej państwowej i narodowej społeczności. Weźmy dla przykładu plagę chuligaństwa, którą z pasją zwalczają i będą zwalczać zarówno ludzie wierzący jak i niewierzący. Środki oddziaływania mogą tu być różnorodne, do argumentów organizacji młodzieżowej kładących szczególny nacisk na społecznie szkodliwą funkcję chuligaństwa przyłączyć się mogą argumenty katolika, który prócz potępienia społecznej funkcji rozpasania, przypomni także i o pogwałceniu, traktowanych przez nas jako absolutne — norm etycznych. Mimo bogatego wachlarza metod zaradczych — przedmiotem wspólnej troski będzie tu praca nad przywróceniem społeczeństwu jednostek często potencjalnie wartościo-

(Dokończenie na str. 2.)

Deklaracja Episkopatu

W dniu 19 września br obradowała w Warszawie Komisja Główna Episkopatu. Następnego dnia obradowała Konferencja Plenarna Episkopatu. Obecni byli wszyscy Ordynariusze diecezji polskich. Obradom przewodniczył Prymas Polski Ks. Stefan Wyszyński. Konferencja wydała następującą deklarację z okazji wyborów:

Polskie społeczeństwo katolickie stoi wobec doniosłego zadania — wypełnienia obowiązków płynących z prawa wyborczego. Episkopat Polski stwierdza, że z prawa głosowania płynie moralny obowiązek złożenia głosów do urn. Wypełniając ten obowiązek katolicy dają wyraz przeświadczeniu:

1. że przyczyniają się do umocnienia wewnętrznej zwartości Narodu i zabezpieczenia pokoju, tak niezbędnych dla niepodległości i dobrobytu Ojczyzny;

2. że naczelne potrzeby Narodu wymagają wspólnej pracy wszystkich jego członków nad odbudową kraju i obroną praw Polski do Ziem Zachodnich;

3. że w pracy nowego Sejmu będą przestrzegane zasady Porozumienia Episkopatu z Rządem.

Konsolidacja narodu w obliczu czekających go zadań, zarówno na terenie wewnętrznym jak i międzynarodowym jest dążeniem całego społeczeństwa polskiego.

W imieniu Episkopatu
(—) **Biskup Zygmunt Choromański**
Sekretarz Episkopatu

Warszawa, dnia 19 września 1952 r.

O aktywności kulturalnej

(Dokończenie ze str. 1)

wych lecz zbakierowanych bezideowością.

Wśród najrozmaitszych bolączek, jedną z najstraszliwszych chorób organizmu społecznego jest np. alkoholizm. I tu wpływ katolickiego wychowania może mieć ogromne znaczenie. Znaczenie właśnie społeczne, ogólnonarodowe. Weźmy dla przykładu skutki alkoholizmu: rozbite rodziny, nieszczęśliwe wypadki przy pracy, możliwość nie wykonania planu na jakimś szczegółowym wycinku produkcji, zaniedbane lub kalekie od urodzenia dzieci. Jakżeż odpowiedni temat nie tylko dla duszpasterza ale i dla pisarza. Jeżeli nam odpowie, że literatem jest nie po to by produkować dydaktyczne obrazki, skłońmy go, żeby wstąpił do zakładu dla dzieci psychicznie upośledzonych i sprawdził np. przeszłość ich rodziców. Wtedy może się zrodzi nie dydaktyczny obrazek, który nikim nie wstrząśnie i przez to nie jest naprawdę pomocny, ale utwór poruszający sumienie i wskazujący sposób odnowy życia ludziom, którzy niejednokrotnie właśnie takiego pchnięcia z zewnątrz potrzebują. Również zagadnienia moralności seksualnej wiążące się ściśle z zagadnieniem moralności w rodzinie są tymi, które winny mobilizować działalność kulturalną na polu wychowania. Albo inna sprawa: pierwszy etap walki z analfabetyzmem można uważać za zakończony, jednak wysiłek tysięcy nauczycieli, ich olbrzymi wkład musi być nieustannie kontynuowany.

Jedną z form takiej kontynuacji może być kierowanie uwagi kręgu odbiorców popularnych pism katolickich, drogą recenzji przynajmniej, na tak obficie wznawiane dzieła klasyków naszej literatury. Wykorzystanie posiadanego autorytetu dla kierowania czytelniczymi zainteresowaniami odbiorcy może mieć bardzo poważny skutek w akcji upowszechniania oświaty. Autorzy recenzji i zespoły redakcyjne przyczyniające się np. do zapoznania swoich czytelników z twórczością Prusa, Sienkiewicza czy Orzeszkowej z pewnością zdają sobie sprawę z tego wkładu w ogólną akcję społeczną.

Trzeba tu przy okazji poruszyć jeszcze pewne zagadnienie, które choć dla niejednych stać się może kamieniem nawet w minimalnym stopniu przyczyni się do zmiany nastawienia, skutki będą napewno znaczące. Otóż często odżegnują się od pisania w katolickich pismach popularnych literaci „z prawdziwego zdarzenia", ludzie posiadający i wiedzę i talent lub przynajmniej zdolności. Niestety nie wykorzystują łamów tych pism dla walki z ciemnotą, ignorancją i fideizmem. Czas najwyższy zrewidować tę wątpliwą „regułę".

*

PRZYPOMINAJĄC realizację założeń i haseł Frontu Narodowego, trzeba powiedzieć, że katolicy polscy niejednokrotnie i bardzo jednoznacznie wyrażali swoją opinię na temat zdecydowanej woli obrony pokoju, stwierdzając równocześnie w szeregu oficjalnych wystąpień powagę zagrożenia pokoju przez odradzające się siły hitleryzmu. Prasa katolicka w niezliczonej ilości artykułów stanowisko to dokumentowała i szeroko omawiała. Można więc oczekiwać, że problem pokoju i stosunku do inspiracji wojennej znajdzie oświetlenie jeszcze bardziej niż dotąd wszechstronne, gdy naukowcy, publicyści i wychowawcy będą sięgać do historii myśli chrześcijańskiej, zbliżając współczesnemu człowiekowi wielkie postacie minionych epok i ich poglądy w tych tak nieobojętnych dla losów ludzkości sprawach.

Sięganie do historycznych źródeł nie zmniejsza oczywiście potrzeby rozwijania tych samych zagadnień w najbardziej różnorodny sposób przez filozofię, etykę katolicką, literaturę, sztukę, pedagogikę. Na jeden element tejże problematyki należało by zwrócić szczególną uwagę, gdyż kryje się on u źródła pozornie odeń odległych konfliktów sumień, za które w rezultacie można zapłacić straszną cenę. Sprawa jest nader cyniczna. Chodzi o tendencję „nowoczesnej krucjaty", „nawracania siłą", lansowaną przez wrogie narodowi polskiemu i w gruncie rzeczy obojętne wobec naszych problemów światopoglądowych polityczne czynniki amerykańskie. Zwłaszcza teraz w XX wieku, gdy technika na usługach militarnych celów może grozić zagładą ludzkości — ze zwielokrotnioną energią te cyniczne tendencje muszą być zwalczane w każdym, choćby pozornie najdrobniejszym wypadku. Na tym tle olbrzymieje rola wychowania dla pokoju, zewnętrznego i wewnętrznego.

Tendencja „krucjaty" w naszych polskich warunkach wyraża się sianiem i rozwijaniem nienawiści skierowanej personalnie na ludzi niewierzących, a obłudnie motywowanej obowiązkiem zachowania wierności Bogu. Przewrotny ten plan trzeba rozbijać i unicestwiać, a normy moralne stosunku wierzących do niewierzących szeroko rozwijać w całym współczesnym wychowaniu religijnym, opierającym się trwale na nakazach Ewangelii. Jakżeż tragicznie wspiera w nas świadomość tej powinności fakt, że w oczach ludzi niewierzących tendencja krucjaty jest jednym z najsilniejszych argumentów przeciw poszanowaniu dla wiary współczesnych chrześcijan.

*

FUNDAMENTALNE założenie Frontu Narodowego mówiące o woli obrony granic na Odrze i Nysie — wyrażali katolicy polscy od roku 1945 wszystkimi sposobami. Duszpasterze polscy stali w szeregach pierwszych osadników na Ziemiach Odzyskanych, ludzie świeccy swą codzienną pracą w owocnym zagospodarowaniu tych obszarów — tysiącem węzłów napowrót łączyli je z Polską, pisarze podjęli tę problematykę poprzez wszystkie rodzaje literackie,

Nie należy jednak uznać tej powinności za załatwioną i sądzić, że już więcej uwagi i serca nie potrzebuje. Problem autochtonów naprzykład, często zbyt powierzchownie sądzony wymaga głębszego spojrzenia i wnikliwszych badań. W poszukiwaniach historycznych czynionych aktualnie nie dotarliśmy dotąd do precyzyjnego naświetlenia udziału katolików duchownych i świeckich w walce o polskość Śląska, nie dotarliśmy do wielu postaci, którym napewno należało by poświęcić gruntowne, źródłowe studia. W przykładowo tu zarysowanych kwestiach niesposób niestety zawrzeć ich potężnej liczebności.

*

KONIECZNOŚĆ mobilizacji naszej aktywności kulturalnej wokół problemu przebudowy gospodarczej kraju nie może być pojmowana w sposób mechaniczny. Związek ze sprawą budowy gospodarstwa narodowego musi się obiektywizować znacznie bardziej twórczo aniżeli naprzykład wzmianką informacyjną o uruchomieniu takiej czy innej fabryki na Ziemiach Zachodnich lub na terenie Białostocczyzny. Również sprawy nie załatwi czyjeś prywatne zadowolenie z otwarcia nowej linii autobusowej. Trzeba iść w głąb, sięgać do korzeni zjawisk i dopiero w ten sposób starać się być pomocnym i wpływać współtwórczo na podnoszenie poziomu cywilizacyjnego naszego narodu. Wymaga to uważnego przeanalizowania tych trudności psychicznych, które są udziałem nawet najrzetelniejszych jednostek. Walka z tymi trudnościami toczyć się musi siłami wspólnymi. Kształtowanie szacunku wobec pracy ludzkiej, przyswajanie mentalności katolika pojęcia pracy, jako twórczości (już nie elitarnej ale tej powszechnej, codziennej) ukazywanie znaczenia pracy dla życia wewnętrznego i ukazywanie jej sensu w uzależnieniu od intencji — to także realne drogi wychowania dla pokoju.

Na wiele spraw, obok których przechodzi się obojętnie trzeba spojrzeć z takiej właśnie perspektywy problematyki moralnej. Z tej perspektywy widzieć będziemy głębiej np. solidarność w pracy, a zło bumelanctwa. Dopomoże to ująć te problemy nie w sposób deklaratywny lecz stosując chodźby chłodne i rzeczowe ale zastanawiające, nowe własne widzenie tych spraw. Widzenie zgodne z tymi samymi założeniami w myśl których w rachunku sumienia stawia się pytanie czy nie popełniono kradzieży. Trzeba o takich wypadkach powiedzieć wyraźnie i jasno, że kraść nie wolno nie tylko z portmonetki. Że człowiek, który okrada w pracy swego kolegę z jego wysiłku, z jego zdrowia ponosi winę, jak się zdaje, nieraz znacznie cięższą niż kieszonkowy złodziej. Przykłady możnaby mnożyć. Biurokratyczny urzędnik okradający interesantów z czasu, który jest także dobrem człowieka, napewno również zasługuje na uwagę katolickiego publicysty i wychowawcy. Pracownik przemysłowy produkujący wybrakowany towar, a zatem okradający kogoś, prawdopodobnie liczącego się ze swymi wydatkami, woła o przypomnienie, że normy moralne katolicyzmu obowiązują nie tylko w niedzielę. O tych sprawach nie da się mówić na „odczepne". Muszą być na własny sposób przemyślane, „wycenione", likwidowane przy pomocy własnego, konfrontowanego z systemem wyznawanych norm, wysiłku.

*

SPRAWY wyżej omówione wyłaniają szereg kwestii aż krzyczących o analizę i konfrontację z katolickim światopoglądem. Napewno nie mogą one być rozstrzygnięte jednym pociągnięciem pióra. Także przemyślenie sporadycznych kwestii nie przyniesie oczekiwanego rozwiązania. Tutaj trzeba gromadnego wysiłku, zarówno w dziedzinie myślenia koncepcyjnego jak i w dziedzinie przekazywania wyników tegoż w formie przystępnej dla wszystkich zainteresowanych.

Weźmy np. problem znaku równania przeciąganego jeszcze przez niektórych z nas między kosmopolityzmem a internacjonalizmem. Powie ktoś: Znowu polityka. Powie o tyle niesłusznie, że między innymi i nasz stosunek do polityki musi być warunkowany założeniami wyznawanego światopoglądu. Wystarczy przypomnieć, że niedomyślenie tych problemów powodowało i powoduje jeszcze tu i ówdzie par excellence achrześcijańskie i aspołeczne tendencje narodowego szowinizmu i antysemityzmu, wiodące wprost do ideologii faszyzmu.

Nie zapominajmy wreszcie o wspomnianym już poprzednio postulacie wyłaniającym się pilnie przed współczesną myślą katolicką, postulacie walki ze sceptycyzmem, tym zwłaszcza, który się staje pokrywką dla chorób woli.

*

WSZYSTKO co było wyżej powiedziane, nawet w drobnym ułamku nie wyczerpuje bogactwa sygnalizowanych problemów. Chodziło narazie wyłącznie o, jeżeli napewno niepełne, ukazanie konturu perspektyw dla rozwoju kultury katolickiej, której celem jest społeczne przekazywanie wiedzy o Bogu i Jego dziele, rozwijanie uczuć miłości dla Niego i Jego stworzeń, kształcenie woli wreszcie, która kieruje w drodze ku Niemu. Od stopnia wiedzy własnej, od ukochania nadrzędnego celu i woli jego realizowania zależy w dużej mierze skuteczność służby Bogu i Kościołowi, tych wszystkich katolików, którzy biorą udział w życiu publicznym.

Janina Kolendo

PRZEGLĄD PRASY

W sprawie »apolityczności«

W ostatnich czasach „Tygodnik Powszechny" więcej niż zazwyczaj miejsca poświęca problematyce społeczno-politycznej oraz społeczno-etycznej. Notując ten fakt z uznaniem mamy na myśli numer 38 i 39 tego pisma. Jakkolwiek wypowiedzi na powyższe tematy nie pokrywają się całkowicie ze stanowiskiem zajmowanym przez nasze pismo, zasługują na uwagę. Obecny moment ważnych dla losów naszego kraju wypadków, szczególnie nadaje się do tego by nie tylko zabierać głos w sprawach społecznych i politycznych ale również konfrontować poglądy w tych sprawach.

Artykuł pt. „Nic co polskie nie jest nam obojętnym" *stawia niewątpliwie wiele spraw bardzo istotnych w stosunku katolika do współczesnej rzeczywistości społeczno-politycznej w Polsce. Poruszono tu ważki, wielokrotnie przez Dziś i Jutro wysuwany problem „emigracji wewnętrznej" i szkodliwości takiej postawy oraz jej sprzeczności z „nakazem czynnego stanowiska chrześcijańskiego". Dalej omawiany artykuł podnosi sukcesy osiągnięte i coraz skuteczniej osiągane w dziedzinie uprzemysłowienia kraju oraz nawołuje do jak najrzetelniejszego udziału w pracach podejmowanych w kierunku przezwyciężenia naszego wielowiekowego zacofania gospodarczego. Nie pominięto też w tym artykule sprawy Ziem Zachodnich — sprawy która najbliżej łączy wszystkich Polaków a w której zdecydowany głos katolików powinien dotrzeć zagranicę. Poświęcono też sporo miejsca problematyce stosunku Kościoła do Państwa, zwracając uwagę na konieczność nieustannego wysiłku w kierunku najpełniejszego realizowania Porozumienia. Wszystkie te sprawy stanowią przesłanki prowadzące do pozytywnej oceny koncepcji i programu Frontu Narodowego i w konsekwencji do zachęty społeczeństwa katolickiego do masowego udziału w wyborach. Mimo wielu akcentów pozytywnych i pozytywnego sensu całego artykułu oraz motywacji podobnej jaką od wielu już lat Dziś i Jutro wysuwa w swej publicystyce, mimo wszystkich tych zbieżności są w naszych stanowiskach i różnice, które zasługują na podkreślenie. Przede wszystkim mamy tu na myśli stosunek do polityki.*

„Pisaliśmy na tych szpaltach — czytamy w artykule — o apolityczności Katolików w Polsce Ludowej i tezę te nadal podtrzymujemy. Rozumiemy to w tym sensie, że nie ma w Polsce miejsca na żadną odrębną formację polityczną katolików. Ale apolityczność w tym sensie nie oznacza bierności społecznej."

Zastrzeżenia budzi ostatnia część tego sformułowania. Gdzież bowiem przebiega podział między działalnością polityczną a aktywnością społeczną? W XIX wieku i na początku naszego stulecia podział taki mo że formalnie istniał ale i wówczas był fikcją. Każda akcja społeczna, jeśli tylko posiada szersze znaczenie miała ambicje by stać się skuteczną, była zawsze bardziej lub mniej jawnie związana z polityką. Czyżbyśmy chcieli dziś powracać do stosunków, w których polityka była sferą działania wyłącznie garstki zawodowców a reszta społeczeństwa wsadzała głowę w piasek i idąc na pasku politykierów z hipokryzją wypierała się swego udziału w polityce. Tamten stan rzeczy musi budzić gwałtowny zasadniczy sprzeciw moralny bez względu nawet na opłakane konsekwencje jakie ściągnął na społeczeństwa i narody.

Ale pomijając nawet argumenty natury moralnej i społecznej rozróżnienie spraw politycznych i społecznych jest w praktyce iluzoryczne i niemożliwe. Sam omawiany artykuł dostarcza argumentów na udokumentowanie tej tezy. Artykuł jest bowiem niewątpliwie aktem politycznym tak jak i koncepcja Frontu Narodowego jest koncepcją polityczną. I oto autor czy autorzy artykułu odżegnując się zapamiętale od polityki — „jednym tchem" jeśli tak można powiedzieć dokonują doniosłego aktu politycznego.

Notujemy te uwagi nie dlatego aby znajdować satysfakcję w przyłapywaniu polemistów na niekonsekwencji ale dlatego, że uważamy za podstawowe nasze zadanie wobec społeczeństwa katolickiego rozwiewać iluzoryczne i szkodliwe nawyki stronienia od problematyki politycznej.

Inne zagadnienie porusza w następnym numerze, (39) Tygodnika Powszechnego Jerzy Turowicz w artykule pt. „Uwagi o miłości bliźniego". *Zagadnienie inne, rozważane na odmiennej płaszczyźnie, ale przecież wiążące się ściśle z problematyką społeczną a nawet polityczną. I nie tylko wiążące się — leżące nawet u podstaw omawianej problematyki.*

Tu znów jesteśmy zmuszeni przyklasnąć gorąco intencjom i cennym myślom artykułu, uznać go za niezwykle potrzebny i istotny w naszych warunkach ale równocześnie zwrócić uwagę na pewne jego niedomówienia.

Artykuł stawia wyraźnie społeczne zobowiązania chrześcijanina wynikające z nakazu miłości bliźniego. Co więcej Turowicz z naciskiem podkreśla szczególne obowiązki chrześcijanina wobec wydziedziczonych — wobec klasy robotniczej. Równocześnie zwraca uwagę, że miłość chrześcijańska „nie może być tylko romantycznym uczuciem czy sentymentalną namiastką działania, ale... prowadzić musi do czynnego zaangażowania w sprawę człowieka na ziemi."

Zestawienie tych dwu podstawowych nakazów wynikających z najistotniejszej treści chrześcijaństwa domaga się wprost wyciągnięcia dalszych wniosków. Być może sam czytelnik tego dokona. Trzeba jednak pamiętać, że długotrwała i zła tradycja o kresu kapitalizmu ciąży na dotychczasowej świadomości społecznej chrześcijan, którzy właśnie często wzbraniali się wyciągać praktycznych wniosków z zupełnie jednoznacznych nakazów swej wiary. Iluż ich deklamowało zawzięcie o obowiązkach wobec upośledzonych i o konieczności czynnego wypełniania nakazu miłości bliźniego, równocześnie zajmując pozycje obojętne jeśli nie wręcz wrogie wobec sprawy robotniczej. I właśnie na skutek braku politycznych konsekwencji chrześcijańskiej postawy etycznej tylu chrześcijan dało się przez prawicowych polityków uwikłać, w różnego radzaju rzekomo apolityczne formy działalności społecznej, w istocie wymierzonej przeciwko klasie robotniczej — przeciwko sprawie pokrzywdzonych i wydziedziczonych. Zjawisko to do dziś dnia jest niemal powszechne na zachodzie Europy.

U nas sytuacja radykalnie się zmieniła; polityka ujawnia się we wszystkich niemal dziedzinach życia i jest nazywana po imieniu.

Stanowisko polityczne zajmuje i Tygodnik Powszechny deklarując swój udział we Froncie Narodowym. Wydaje nam się jednak szczególnie ważne dla losów naszego narodu i Kościoła w Polsce aby jak największa liczba czytelników Tygodnika Powszechnego, który cieszy się w środowiskach katolickich tak znacznym autorytetem, pojęła i poczuła odpowiedzialność polityczną swojej postawy i swych czynów. Nie ulega bowiem wątpliwości że stopień świadomości i dojrzałości politycznej społeczeństwa katolickiego obok jego twórczych, aktywnych sił będzie czynnikiem, który zadecyduje o roli katolików i katolicyzmu w przyszłym, budującym się dziś świecie.

(aka)

Ignacy RUTKIEWICZ

POKUSA FASZYZMU

Trzeba nauczyć się myśleć w sprawach polityki kategoriami struktur, głębokich sił napędowych procesów rozwojowych i przestać wreszcie wierzyć w ten magiczny świat, w którym dobre uczucia i złe duchy są uważane za sprawców historii.

Emanuel Mounier, 1947

ZJAWISKO jest groźne i niepokojące. Oto w szeregu krajów, których model ustrojowy nosi wyraźne znamiona reżimu faszystowskiego, wielu katolików, nawet i ci najbardziej reprezentatywni spośród nich, staje aż nazbyt często w szeregach najwierniejszych popleczników dyktatora. Hiszpania „arcykatolickiego" caudilla Franco, Portugalia Salazara, Argentyna Perona... Czy będą to te reżimy faszystowskie, które zmiotła ostatecznie wojna, czy te, którym udało się wyjść z niej obronną ręką, czy wreszcie będą to wyrastające w ostatnich latach jak grzyby po deszczu młode ruchy neofaszystowskie we Francji, w Niemczech zachodnich czy we Włoszech — wszędzie w szeregach ich zwolenników odnajdujemy katolików.

Przyjęło się twierdzenie, że faszyzm to po prostu zwykłe przedłużenie tradycyjnego konserwatyzmu społecznego i politycznego. I właśnie tą znaną słabością znacznej części społeczności chrześcijańskich do konserwatyzmu, usiłuje się tłumaczyć owe profaszystowskie sympatie ideologiczne. Tłumaczenie takie jest tylko po części słuszne, bo przecież pamiętać trzeba, że faszyzm nie jest zwykłą odmianą konserwatyzmu, którego sztandarowym hasłem jest, aby pozostało tak, jak było przedtem, jak było „zawsze". Faszyzm z wielkim hałasem ogłasza się ruchem rewolucji społecznej, awangardą nowego świata. Tymczasem rewolucja społeczna, do której aspirują masy wydziedziczonych starego świata ma tylko jedną drogę, tę, którą obrała klasa robotnicza. „Rewolucja" krocząc po wektorze przeciwnym, jak to czynią ruchy faszystowskie, zdradza swe rzekome powołanie i staje się najgorszym wydaniem kontrrewolucji. Takie przeznaczenie nosi ona w sobie od momentu startu. I z tym obliczem zjednuje sobie sympatie tych wszystkich, skądinąd może i subiektywnie zupełnie uczciwych oraz posiadających najlepsze intencje ludzi, dla których tylko to, co było jest dobre, dla których wszelkie nowe jest a priori gorsze od tego, co było w przeszłości. Że wśród tych ludzi tak często odnajdujemy naszych braci chrześcijan, jest tylko dowodem ich osobistego słabego rozeznania historycznego, a nie obciąża wiary, którą wyznają. Ale to zmusza nas do zajęcia się tym zjawiskiem.

KONIUNKTURA HISTORYCZNA FASZYZMU

FASZYZM jest zjawiskiem typowym dla historii najnowszej. Schyłkowy kapitalizm rodzi na pewnym określonym etapie swego rozwoju, kiedy jego sprzeczności wewnętrzne sięgają szczytowego napięcia i kiedy świadomość społeczna klas wydziedziczonych prowadzi je do decyzji podjęcia rewolucji, ten typ reakcji społecznej, który nazywa się faszyzmem.

Zasadniczy model ustroju ekonomicznego i społecznego pozostaje w ramach dyktatury faszystowskiej niezmieniony. W dalszym ciągu ist nieją, teraz włączone niejako w cało kształt aparatu państwowego, wielkie koncerny i banki prywatne, rozwijają się one nadal i nadal zapewniają ich właścicielom głos decydujący o kierunku polityki społecznej i gospodarczej kraju.

Cały poprzedni dorobek demokracji mieszczańskiej, jej tradycyjne wolności i prawa obywatelskie faszyzm przekreśla bezlitośnie, ale przecież dyrektorom monopolij te właśnie zdobycze bohaterskiego okresu kapitalizmu nie są już potrzebne. Dyktatura partii faszystowskiej, nie redukując korzyści ekonomicznych koncernów, jednocześnie paraliżuje kontrakcję ze strony ruchu robotniczego, który zostaje przez faszyzm zdławiony i wtrącony w podziemie.

Klęska stronnictw tradycyjnej prawicy, rządy partii oportunistycznego centrum, groźba rewolucji czy co najmniej radykalnych reform ustrojowych i to wszystko w warunkach ostrego kryzysu ekonomicznego — na takim tle z reguły wyrastają ruchy faszystowskie. Społeczeństwom znękanym trudnościami gospodarczymi i chwiejnością rządów faszyzm rzuca miraż „nowego ładu", miraż cudownego rozwiązania wszelkich trudności.

Miraż ładu i dobrobytu wewnętrznego uzupełnia mit potęgi zewnętrznej kraju. W konsekwencji następuje prędzej czy później polityka nieokiełznanych zbrojeń, polityka agresji i zaborów.

W dobie powojennej, w miarę zaostrzania się amerykańskich apetytów politycznych, w miarę krystalizowania się amerykańskich zamierzeń antyradzieckich — w żagle faszyzmu dmą coraz to pomyślniejsze wiatry. Hasło walki z wrogiem wewnętrznym, którym to mianem chrzci się do facto tych wszystkich, co starają się zachować niezależność myślenia — ma zyskać neofaszystom sympatie zaprzysiężonych konserwatystów i ludzi niezdecydowanych.

Geneza reżimów Salazara, Franco, Perona czy Pétaina, charakterystyka ruchu de Gaulle'a czy innych ruchów neofaszystowskich — różnią się między sobą, ale łączy je spekulowanie na uczuciach religijnych katolików oraz wielka i hałaśliwa propaganda o realizowaniu chrześcijańskich ideałów społecznych i zarazem hasło walki klas zgodnym rzekomo współdziałaniem kapitału i pracy.

Reżimy te z całą gwałtownością opowiadają się za katolicyzmem i mianują się wiernymi strażnikami dorobku jego blisko dwutysiącletniej historii. Kościołowi zapewniają one największe przywileje, religię katolicką ogłaszają religią państwową, z handlarską bezczelnością obnoszą się ze swoją „katolickością". Fakt, że jednocześnie te właśnie reżimy nie podejmują żadnych reform społecznych — podczas gdy w ich krajach kontrasty społeczne sięgają zenitu — ten fakt stawia w pozycji niezmiernie dwuznacznej katolików, cieszących się wielkimi religijnymi swobodami, a zarazem mniej lub więcej donośnie basujących dyktaturze.

ŚWIAT ABSOLUTNEGO BEZPIECZEŃSTWA

ISTNIEJE jeszcze druga wielka współrzędna faszyzmu, współrzędna w skali epok. Jest nią załamanie się bezproblematycznej koncepcji świata, koncepcji panującej w umysłach sytych mieszczan wieku dziewiętnastego, ale źródeł której trzeba szukać o wiele wieków wstecz.

Człowiek nie czuje się pewny w świecie — pisał w postępowym francuskim miesięczniku katolickim „Mal Pensants" L. J. Rondeleux — świat jest zbyt wielki dla niego. We wszystkich epokach, w mniejszym lub większym stopniu, człowiek czuł się osaczony strachem. Aby się odeń uwolnić, człowiek usiłuje zbudować sobie pewny świat, w którym znajdzie za pełny spokój. Podczas wielu tysięcy lat człowiek wkładał całą swoją energię w budowę świata na swoją najmniejszą miarę: na miarę swego ograniczonego rozumu. Miał to być świat zamknięty, który człowiek zna wylot, cywilizacja pewna, w której można znaleźć oparcie i absolutne bezpieczeństwo, za którym człowiek tak tęskni. Budowa tego świata absolutnego bezpieczeństwa zakończyła się w wieku XIX. Przez krótką chwilę wydawało się człowiekowi, że jego odwieczne marzenia ziściły się.

Otóż przełom wieku XIX i XX ukazał kompletną ruinę tego wygodnego i pewnego świata ludzi sytych i zadowolonych z życia, świata dobrze trawiącej burżuazji. I znowu człowiek stanął sam na sam wobec lęku. Uczucia tego nie doświadczyli jedynie ci, którzy potrafili zrozumieć dialektykę historii, którzy potrafili ujrzeć w konwulsjach starego świata nie tylko objawy jego nieuchronnej agonii, nie zapowiedź powszechnej katastrofy, która zniszczy cały rodzaj ludzki, lecz także bóle porodowe nowego porządku rzeczy.

Faszyzm pojawia się w tym właśnie momencie. Ogarniętemu panicznym lękiem człowiekowi ofiarowuje nie rozumne wyjaśnienie istoty zjawiska przesilania się starej, przeżytej formacji historycznej, lecz apel do bezmyślnie zdyscyplinowanej woli i niekontrolowanych odruchów instynktu i zrozumienia świata — zastępując go ślepą biologiczną pasją życia.

Faszyzm reprezentuje zatem generalnie postawę ucieczki od świata i zakazuje człowiekowi widzieć ten świat krytycznie. System zhierarchizowanego tępego posłuszeństwa wobec rządzącej kliki dyktatora ma zwolnić jednostkę od odpowiedzialności, ba, od potrzeby myślenia. Propozycja, jaką wysuwa faszyzm wobec człowieka ogarniętego psychozą lęku w obliczu załamania się kunsztownego gmachu mieszczańskich złudzeń o świecie absolutnego bezpieczeństwa i pewności, jest zatem w swej istocie wizją świata na nowy sposób absolutnie bezpiecznego i pewnego.

MENTALNOŚĆ TOTALNA KATOLIKÓW

NIE trzeba ukrywać, że tę tęsknotę za światem idealnego bezpieczeństwa i spokoju odczuwają bardzo liczni katolicy, którym wydaje się, że katolicyzm jest właśnie rękojmią stworzenia takiego systemu życia już tu na ziemi. Są to ci właśnie katolicy, dla których — niezależnie od tego, czy zdają oni sobie z tego sprawę, czy nie — Królestwo Boże jest z tego świata. Ulegają oni niebezpiecznej sugestii, jakoby katolicyzm mógł być — obok spełniania swej zasadniczej funkcji religii nadprzyrodzonej i systemu moralności — o nią opartego — jakimś określonym kierunkiem myślenia historycznego, jakoby światopogląd katolicki zawierał w sobie, określony program polityczny.

Na tej bazie teoretycznej krzewić się mogą skądinąd bardzo zróżnicowane orientacje polityczne. Ona jest przesłanką np. do powstania tzw. partii katolickich, pretendujących do monopolu reprezentacji politycznej katolików. I ona stanowi niezwykle często odskocznię teoretyczną do opowiedzenia się katolików za faszyzmem. Istota takiego stanowiska ideologicznego polega na pomieszaniu zakresów „kompetencyjnych" spraw Bożych i spraw „cesarskich".

Jakkolwiek nigdy niedość będzie przypominać, że sprawy „cesarskie" są również poddane kontroli etyki, która w rozumieniu doktryny katolickiej jest etyką przenikającą integralnie wszystkie dziedziny życia, to przecież ta sama doktryna broni się kategorycznie przed zamazywaniem istotnej specyficznej różnicy między sprawami należącymi do porządku doczesnego a sprawami porządku nadprzyrodzonego.

U korzeni tego błędu leży przeświadczenie że jako katolicy, z racji przynależności do Kościoła, powinniśmy wybrać jakiś jeden określony sposób myślenia politycznego, który jedynie zapewni zwycięstwo nauce Kościoła. Pochopnie miesza się doczesny porządek chwały z tym rodzajem chwały, jaki obiecał swemu Kościołowi Chrystus — trafnie to zauważa Jakub Maritain w swej „Religii i kulturze".

Ten przejaw mentalności totalnej katolików jest czymś głęboko sprzecznym z duchem Kościoła.

Mentalność totalna katolików polega — w moim rozumieniu — na systematycznym mieszaniu spraw religii i polityki, co w konsekwencji prowadzi do degradacji religii w stosunku do polityki. Interesy grup politycznych posługujących się nazwą katolików czy chrześcijańskich uznaje się tu za interesy religii — i oto stoimy wobec równi pochyłej, którą wiedzie się społeczeństwa katolickie ku faszyzmowi.

Droga ku faszyzmowi ludzi zajmujących taką postawę ideologiczną nie jest ani krótka, ani bezpośrednia. W zasadzie jest ona najbardziej charakterystyczna dla zwolenników koncepcji tzw. partii katolickich, czyli chrześcijańsko-demokratycznych, generalnie przeciwnych faszyzmowi.

Istnieje bowiem uzasadniona obawa, potwierdzona rozwojem wypadków w szeregu krajów Zachodniej Europy, że skoro okaże się, iż programy chadeckie nie potrafią zrealizować swych chwalebnych w założeniach programowych zamierzeń polityczno społecznych i ugrzęzną bezradnie w bagnie oportunistycznego lawirowania między Scyllą prawicy a Charybdą lewicy społecznej — to wówczas funkcjonowanie mentalności totalnej orientuje katolików stanowczo w kierunku faszyzmu. Cóż dopiero, kiedy faszyści zręcznie poczną spekulować hasłami o wierności Kościołowi i jego nauce społecznej. I wówczas tak łatwo pociągnąć katolików, przekonanych, że opowiadając się za faszyzmem — służą Kościołowi. Mieszanie spraw religii i polityki wydaje gorzkie owoce.

ZAGADNIENIE KLUCZOWE

FASZYZM — powiedzieliśmy już wyżej — głosi się ruchem rewolucji społecznej. Istota tej „rewolucji" — chrzczonej zresztą co raz częściej mianem rewolucji narodowej — zasadza się na rzekomym zlikwidowaniu walki klas rozdzierającej wszystkie społeczeństwa starego świata. Faszyzm proklamuje się jedynym i niezawodnym obrońcą najświętszych — jak to określają jego ideologowie — podwalin bytu społecznego: ładu, pracy, własności prywatnej, rodziny i ojczyzny.

I te hasła uwodzą dla niego poważną część katolickich społeczeństw Zachodu, tak naiwnie wierzących w to, że dla faszyzmu te wszystkie słowa znaczą akurat to samo, co dla człowieka, który widzi ich prawdziwą treść. Bowiem faszyzm do perfekcji doprowadził sztukę mistyfikacji, sztukę persyflażu ideologicznego, sztukę znieważania każdego słowa, topieniem go w bagnie cynicznej i amoralnej dwuznaczności.

Ład społeczny jest wartością zbyt poważną, aby można było przechodzić nad nią do porządku dziennego. Tylko, że w życiu społecznym niewiele jest wartości równie dwuznacznych, jak pojęcie ładu społecznego. Wszak serwilizm w stosunku do władz okupacyjnych nazywali hitlerowcy także pracą dla ładu społecznego.

Taki ład społeczny, w którym olbrzymia większość społeczeństwa pracuje na pasożytniczą mniejszość, arcytrafnie nazwał przed dwudziestu już laty młody wówczas zespół „Es-

(Dalszy ciąg na str. 4)

Wacław Olszewski

Po żniwach

Mendle milczały w złocie, jak kościelne wieże,
potem padły w ramiona drabiniastych wozów
— i teraz, na ścierniskach wiatr w swe dłonie bierze
nici babiego lata i dym z parowozu.
Lecz już w kilka dni później, gdy z klepisk biedniaków
i ze stodół spółdzielczych wyjeżdżały wozy —
w dialektyce kolorów, po wiejskim Zodiaku
płynęły tylko dymy z parowozu:
zginęło babie lato w czerni podorywek
przetykanej łubinem złotym, jak to zboże
wiezione z w s i d o m i a s t a. Tutaj uszczypliwe
słówko „slogan" krytykom napewno pomoże:
„Jakto? w liryczne wiersze wtykać z gazet słowa,
mącić czystość metafor „sojuszem i te pe?"

A przecież w tym „sloganie" poezja się chowa
— więc na wiersza klepisku, słowem niby cepem
chciałbym uderzyć mocno, by ziarno wymłócić,
potem z plew je oczyścić na wialni satyry
i pokazać prawdziwych ze wsi i z miast ludzi
i pokazać w sloganie: miłość, trud i liryzm,

chciałbym sojusz wsi z miastem. „dziennikarskie słowo"
ukazać w miejskim ranku, gdy przed wyjściem dzieci,
matki kładą na stołach — chleb, sojuszu owoc
(chleb może być owocem, gdy zechcą poeci)
Chciałbym pokazać uśmiech tysięcy włókniarzy,
gdy w przerwie chleb wyjmują, pachnący, jak żniwo:
warsztat, grzmiący, jak kombajn wspólnym rytmem zdarzeń
— Polskę wsi, Polskę miasta — sojuszem szczęśliwą.
Chciałbym... ale pojęcia: traktor, warsztat, kierat —
obce są pięknoduchom patrzącym ze wzgardą
na drogę wozów z ziarnem, brukowaną nieraz
ich własną nienawiścią i głupią pogardą —

więc rzucając „slogany" — patrzę na krajobraz,
w formalistyczne ple-ple rymy przyoblekam
i gwoli pięknoduchom — zimny, martwy obraz
zostawiam, jak pointę — jesień b e z człowieka:
nici babiego lata padły w orkę świeżą,
mgła się plącze w konarach brzóz i topól sennych,
czyżykają kuropatwy, potraw w kopach leży,
zapach łubinu złoci krajobraz jesienny...

Alfred GERARD

O »MŁYNIE NAD UTRATĄ«

Jarosław Iwaszkiewicz, ma w swoim dorobku dwie nowele, dotyczące ściśle zagadnień katolickich.

Jedna z nich nazywa się: „Młyn nad Utratą", druga — „Matka Joanna od Aniołów". „Bohaterem" pierwszej, interesującej nas tu opowieści, jest młody poeta, Juliusz Zdanowski. Poznajemy go w chwili, gdy po ostatnich egzaminach z filozofii, przygotowuje się do doktoratu.

Chce napisać pracę zatytułowaną „Św. Tomasz z Akwinu a św. Franciszek z Assyżu". Postanawia przeciwstawić cały przepych nauk Tomasza ubóstwu nauk Franciszka.

Religijność Julka — pisze autor — znalazła sobie w jego duszy nurt spokojny, głęboki i bardzo już pewny.

Nie nawiedzały go jak przed kilku jeszcze laty żadne paroksyzmy strachu ani tragicznych zwątpień. W momentach, kiedy musiał decydować o sobie, z łatwością podnosił się z prochu ku Temu, Który istniał ponad nim.

Nazywał to wewnętrznym wyprostowaniem się i mawiał:

— „Należy tylko wyprostować się dostatecznie a głowa nasza zanurzy się w ożywczym i zbawczym prądzie wieczności".

Zdanowski ma przyjaciela, Karola, siedzi u niego na wsi i lekceważy jego metafizyczne wątpliwości. Po prostu zbywa je machnięciem ręki. Zachowuje się w sposób typowy dla ludzi, którzy posiedli już pewność i znajdują się raz na zawsze w bezpiecznej przystani.

W czasie wakacji Julek ćwiczy się w cnocie pokory. Chociaż wysoko ceni swój wyrafinowany francuski katolicyzm, spowiada się jednak u wiejskiego księdza, w swoim przekonaniu, stokroć głupszego od siebie. Czyni tak, aby poskromić swą duszę i zadać sobie cierpienie. Tymczasem w konfesjonale słyszy słowa, do których przyjęcia jeszcze duchowo nie dorósł:

— Zbadaj sumiennie ducha twego i bacz, aby pewność twoja nie pochodziła z pychy. Myśl o tym, aby wiara twoja nie była dumą. Lepsze są wątpliwości, niż pewność, która wypływa z poczucia wyższości.

Julek nie zrozumiał tej nauki, która na dobitek wypowiedziana była głosem niepewnym i przerywanym.

Szkoda, bo w kilka minut później zaczęła się dlań pierwsza próba, będąca początkiem przegranej.

Zdanowski poznał w kościele kobietę nie pierwszej już młodości, szarooką, brzydką i zapłakaną. Zaczął ją pocieszać, posługując się przy tym tekstami religijnymi. Młody człowiek powrócił do siebie, nie wiedząc, że jest zakochany. Zakochany w kim? W blisko czterdziestoletniej i porzuconej przez męża kobiecie z dwojgiem dzieci. Naprawdę nie mógł gorzej trafić. Ani ładna ani inteligentna. Małżonek ją bił, więc uciekła od niego z synami do młyna, będącego własnością jej matki. Zdawałoby się, że pokusa żadna. Tymczasem...

W tym miejscu dokonało się przezwyciężenie schematu „uroczej kusicielki".

Mistrzowstwo polega tu na igraniu z zasadą psychologicznego prawdopodobieństwa. Ten człowiek staje się niespodzianką dla siebie i otoczenia. Jego namiętności nie chcą być logiczne. Wobec najmocniejszej z nich, zarówno silna wiara jak znakomity intelekt zawodzi.

Ani śladu miłości od pierwszego wejrzenia. Infekcja działa powoli, stopniowo i podświadomie. Powoduje najpierw przyrost wewnętrznej oschłości i lekkie zobojętnienie religijne. Jednak w dalszym ciągu Zdanowski podejmuje ryzyko metafizyczne. Odnajdujemy w nim zgodę na piekło i wieczne potępienie.

Niezrozumiałe a jakże bardzo przekonywające. Czytelnik wierzy, że tak musiało być a nie potrafi powiedzieć dlaczego. Obserwuje klęskę wielkiego rozumu i wiary, niespodziewanie porażonej pychą. Zwolna zaczyna pojmować, że wobec grzechu nie ostoi się ten, kto nie ma w sobie pokory. Ale czy nowele pisze się dla wyrażenia takich prawd, skądinąd dobrze znanych? Rezygnacja z taniego dydaktyzmu potęguje wymowę noweli.

Iwaszkiewicz słusznie uchodzić może za patrona antyschematyzmu w literaturze, wyzwalającej się od wszelkiego rodzaju szablonów, paraliżujących działanie utworu.

Wróćmy jednak do dalszej analizy.

Wiadomo co przeżywa Julek. Ale jakież są psychiczne reakcje jego żałosnej partnerki? Jadwiga po pewnym czasie zaczyna pragnąć normalnego życia. Ten cały romans staje się jej niepotrzebny. Po cóż siedzieć w jakimś głuchym młynie, kiedy można wygodnie osiąść w stolicy. Ekonomia określa uczucia i przeobraża je w miarę katastrofalnego rozwoju wydarzeń.

Dziś byłoby to oczywiste, ale w noweli napisanej przed wojną, zależność tego rodzaju nie zawsze ukazywano chętnie i wyraźnie.

U Iwaszkiewicza gospodarstwo warunkuje charakter życia osobistego. Jest to prawdziwe i naturalne. Lecz na tym nie koniec. W „Młynie nad Utratą" dochodzi do głosu kilka poglądów na świat. Zaprezentowano nam tu katolicyzm, niewytrzymujący pokusy małego kalibru, materialistyczne pojmowanie uczuć i egzystencjalną świadomość okrutnej absurdalności istnienia. Uczucia Zdanowskiego są ślepe i niepojęte, jego śmierć przypadkowa i bezsensowna. W decydującym momencie Zdanowski nie chce księdza, odwraca się do ściany. Nie szuka łatwego rozgrzeszenia. Uważa swoją klęskę za nieodwracalną. Ponieważ świadomie wziął na siebie ryzyko wiecznego potępienia, pragnie wyjść piekłu naprzeciw.

Jest to jakiś przewrotny heroizm, właściwy dla natur pysznych i zapamiętałych. Ten człowiek potknął się o wielkie nic. Czy dlatego ciążyć począł w kierunku nicości?

Można naszpikować powieść katechizmem i uczynić ją nudną dla wszystkich prócz siebie samego. Punkt ciężkości leży na pewno gdzie indziej. Idzie o to, by sad o życiu zawierał się w strukturze wizji. Największa siła tkwi w myśli samorzutnie wynikającej z przebiegu wydarzeń.

W dziele sztuki nie szukamy słownych deklaracji, lecz wymownych faktów. Jeżeli nie określają się same, komentarz im nic nie pomoże.

U Iwaszkiewicza można się nauczyć dyskrecji i powściągliwości, obowiązującej nawet w stosunku do bohaterów własnej opowieści. Kończąc nowelę złowrogo, autor pozbył się jeszcze jednego schematu. Zrezygnował z tradycyjnego nawrócenia, przedśmiertnej słodyczy i ostatecznej błogości.

Ten Julek chce być odpowiedzialnym za grzech. Nie pragnie rozgrzeszenia. Jest kimś nieublaganym w stosunku do własnego losu. Jeszcze kilka miesięcy temu, ludzie uważali go za świętego a taki start obowiązuje. Trzeba wytrwać, kiedy na nas patrzą albo ukarać siebie na wieki.

Pycha to dramat ambicji. Wiem, że wielu czytelników uważa ten finał za wstrząsający, ale nielogiczny. Katolicki intelektualista powinien był w tym momencie odzyskać słuch wewnętrzny. Cóż, kiedy nie poraziła go Łaska.

Zdanowski całkowicie zespolił się ze swoim grzechem. Pozostał wierny słabości. Ta dożywotnia solidarność ze złem jest odmianą jakiegoś demonicznego heroizmu. Ale to pomijam. Bo jeśli stracił wiarę? Dla ateisty jedno doświadczenie pełni, kiedyś przelotnie doznanej, może być ważniejsze, niż cała wieczność z którą się w swym przekonaniu nie spotka.

Mówiliśmy o nieudanym romansie. Okazał się on taki, ale dopiero pod koniec. Wiele wskazuje na to, że wcześniej, na samym początku, Juliusz doznał rzeczy, które warto było przeciwstawić wielkiej niewiadomej.

Przytem ten urodzony egocentryk uważa, że byt istnieje przez analogię do naszych przeżyć wewnętrznych. Jeżeli nie odtwarza ich obrazu w sobie, przestaje być czujnym i wiernym odbiciem czyjegoś osobistego dramatu. Symboliści byli tego zdania. Zdanowski zareagował podobnie. Chciał przejrzeć się w krajobrazie. Gdy siebie w nim nie odnalazł, uznał że ma do czynienia ze światem obcym swojej istocie, niezrozumiałym i strasznym.

To przejście od katolicyzmu do egzystencjalizmu i całkowitego zwątpienia dokonało się samorzutnie bez udziału abstrakcyjnych i zbędnych rozważań.

Pokazano nam tu sztukę tłumaczenia pojęć na obrazy. Ten przełom został pokazany i wyrażony poza wszelką deklaratywnością, która tak nuży i męczy u znacznie gorszych i mniej doświadczonych pisarzy. W tym utworze nie streszcza się zasad. Zasady na nas działają. Doświadczamy skutków ich obecności w duszy bohatera. Świat został wyzuty z przysługujących mu znaczeń na mocy jednego spojrzenia.

Dobrze jest, że obok książek o nawróceniu istnieją dzieła o utracie wiary. Są one również potrzebne.

Chrześcijanin powinien poznać tragizm heroicznego zwątpienia, by uodpornić się przeciwko temu, co jest każdej chwili możliwe. Dlatego istnienie „specjalistów" od nieudanego katolicyzmu, może nam wyjść jedynie na dobre. Tkwiąc wewnątrz naszej problematyki, rzadko kiedy zdajemy sobie sprawę z trudności o wiele ostrzej widocznych z innego punktu widzenia. Spróbujmy tutaj określić istotnie właściwości tej obcej lecz wartościowej postawy.

W noweli „Młyn nad Utratą" wykryliśmy obecność kilku równorzędnych poglądów na świat. Żaden z nich nie został uznany za lepszy czy gorszy od innego. Wszystkie potężnie zagrały. Autor zataił przed nami własne wyznanie wiary. Nie napisał opowiadania po to, żeby wyjawić w co wierzy. Myślę, że miał prawo tak właśnie postąpić.

Jeśli wiarę traci człowiek, który wierzył mądrze i głęboko a nie byle jak — sprawa nabiera tragicznej ostrości i nie może być lekceważona. Pytanie, czy powieść katolicka winna ukazywać zwycięstwo dobra nad złem, jest po prostu naiwne i źle sformułowane. Co gorsza, zawiera ono w sobie sugestię, wiodącą w kierunku fałszywych i schematycznych rozwiązań. Wiemy, że zło pochłania wielu ludzi, że w porządku doczesnym często osiąga przewagę. Jeżeli nie pociąga czytelnika lecz przeciwnie zasmuca go i przeraża, — to wówczas, odtworzone z pasją, staje się współczynnikiem ładu moralnego.

Uczynić grzech rzeczą straszliwie ponurą i beznadziejną, to jest bardzo wiele, to może nawet jest wszystko, co można uczynić, pozostając na gruncie bezlitosnego realizmu.

Skoro żaden z nas nie chciałby stać się Juliuszem Zdanowskim, to znaczy, że postać ta i jej losy oddziaływują na czytelnika w sposób moralnie dodatni, mimo że bohater zdecydowanie odchodzi od katolicyzmu.

Kto przedstawia odosobniony wypadek, musi zrezygnować z wszelkich uogólnień. Tak właśnie uczynił Iwaszkiewicz w noweli „Młyn nad Utratą". Nie ma tu miejsca na żadną diagnozę generalną. Wykorzystano tylko możliwość odtworzenia zgoła wyjątkowego procesu.

Lecz jaka jest funkcja poznawcza takiego dzieła sztuki?

Określono tu przecież charakter, który się już nie powtórzy. Doprawdy trudno wyobrazić sobie dwóch ludzi, załamujących się religijnie w sposób identyczny. Gdyby nawet tak mogło być, to kopiowanie nagminnie występujących procesów nie miałoby sensu w utworze literackim. Tak właśnie powstaje schematyzm.

Nie wszyscy pisarze pretendują do tworzenia typów. Wielu poprzestaje na kształtowaniu indywidualności jedynych w swoim rodzaju.

Alfred Gerard

POKUSA FASZYZMU

(Dokończenie ze str. 3)

prit" Emanuela Mounier — „ustalonym nieładem". A ustrój faszystowski przecież w rzeczywistości kapitalizmu nie likwiduje, on go tylko „ulepsza".

Zapewne szyld jest inny, pewne formy organizacyjne są inne, ale przecież istota rzeczy pozostaje niezmieniona. A co więcej, nie ma potrzeby wyjaśniać bliżej, że faszystowskie metody rządzenia ten „ustalony nieład" podnoszą do, nie wiem jakiej potęgi, poprzez system terroru policyjnego i dławienie wszelkiej wolności obywateli.

Faszyzm usiłuje przeskoczyć obiektywną rzeczywistość społeczną i narzucić historii własną wolę. Ale człowiek nie jest absolutnie nieuwarunkowanym demiurgiem rzeczywistości, działają nań pewne obiektywne, niezależne od jego woli konieczności. Kierowanie historią polega na wykrywaniu i ujarzmianiu tych konieczności, a nie na tyle zuchwałym co jałowym stawaniu im w poprzek. Tym jest bowiem w istocie wysuwana przewrotnie przez faszyzm idea „zgodnej" współpracy między kapitałem i pracą: jak gdyby istnienie czy nieistnienie sprzeczności klasowych było uzależnione jedynie od dobrej czy złej woli członków obu ścierających się sił społecznych, posiadających diametralnie sprzeczne interesy życiowe. Tę współpracę narzuca faszyzm całą siłą swego aparatu państwowego.

Jeśli dla wielu katolików zachodnio-europejskich faszyzm wydaje się krokiem naprzód w kierunku realizacji ideału sprawiedliwości społecznej, to zbliża się on do tego ideału tylko w sensie wywieszenia odpowiednio perfidnego i kłamliwego szyldu. Zaufanie, jakim skłonni są darzyć faszyzm niektórzy — nazbyt zresztą liczni — katolicy opiera się o jaskrawą mistyfikację. Nieznajomość praw rządzących życiem ekonomicznym mści się dotkliwie.

Katolicy w świecie (abstrahujemy na ten raz od stopnia ich prawowierności doktrynalnej i od tego, w jakim stopniu są oni katolikami praktykującymi — ogranicza my się do zakwalifikowania tutaj tych wszystkich, co głośno przyznają się do Kościoła) — nie stanowią bynajmniej jakiejś jednolitej *grupy społecznej*.

Wierni chodzący na nabożeństwa do tego samego kościoła mogą należeć do różnych zawodów i klas społecznych, posiadać odmienne zapatrywania społeczne i polityczne, i tak jest z reguły w praktyce. Ten fakt sam przez się nie stwarza bynajmniej rozdziału w Kościele. Istotne jest bowiem to tylko, aby katolicy nie różnili się między sobą w rzeczach religii i wynikających z niej obowiązków.

Różnice poglądów w rzeczach doczesnych, w granicach niesprzeczności z obowiązującą ich etyką chrześcijańską, nie stanowią same przez się czegoś niewłaściwego. Trafnie notuje Jakub Maritain, że trudno w tych kwestiach wymagać od katolików jedności, skoro rozbieżności zdań istnieją nawet wśród teologów, oczywiście nie w kwestiach naczelnych, ale niemniej istnieją.

Warunki bytu społecznego jednostki wpływają w bardzo dużym stopniu na jej poglądy ideowe. Żywotne interesy życiowe danego osobnika decydują w wielkim stopniu o tym, jaką orientację ideowo-społeczną on wybierze za swoją.

W społeczeństwach katolickich krajów zachodnich w olbrzymiej mierze oficjalną opinię katolicką reprezentują ludzie należący do klasy mieszczańskiej i silnie z nią związani masą najrozmaitszych wspólnych spraw.

Jest to ta właśnie klasa, której poglądy religijne — jak pisał o tym francuski publicysta katolicki J. L. Dumas — są zdeterminowane jej poglądami politycznymi. To znaczy, że wybiera ona katolicyzm w przekonaniu, iż jest on religią ze swej natury rzekomo broniącą ustalonego „ładu społecznego", czyli kapitalistycznego porządku ustrojowego.

Ci reprezentanci „katolickiej" opinii krajów zachodnich, wyrażając poglądy tej klasy społecznej, z którą są z natury rzeczy związani, utrzymują, iż wyrażają interes Kościoła. Błąd w rozumowaniu tych ludzi jest oczywisty: Kościół ze swej istoty w sposób bezpośredni nie opowiada się za żadnym określonym porządkiem społeczno-ustrojowym, ale od każdego wymaga respektowania podstawowych praw człowieka i pewnego minimum wolności apostolatu religijnego.

Skądinąd to ciążenie socjologiczne mieszczańskich działaczy katolickich jest zjawiskiem zupełnie naturalnym, jako że człowiek nie jest istotą anielską i podlega określonym uwarunkowaniom społecznym i psychospołecznym. Stwierdzenie to odkrywa nam tajemnice filokonserwatywnych sympatii politycznych społeczeństw katolickich.

Katolicy owi przyzwyczajeni do mieszania interesu religii objawionej z doczesnymi interesami klasy społecznej, której są członkami — wywierają olbrzymi wpływ na masy swoich współwyznawców. Oni bowiem koncentrują w swoich rękach podstawowe narzędzia urabiania opinii społecznej: najwyższe stanowiska w organizacjach katolickich i prasę katolicką. Nic więc dziwnego,

PÓŁ WIEKU W SŁUŻBIE SCENY



ZE sztywnych, lekko już pożółkłych kart fotografii spoglądają ku nam twarze ucieleśnionych zjaw fantazji poetyckiej. Oto oblicze Gustawa, z chmurą romantycznej zadumy u czoła, oto groźny mars Wysockiego „Z Nocy Listopadowej", a tutaj junacka poza i bogaty strój przypominają barwną komedię Bogusławskiego. Ale wszędzie, na wszystkich fotografiach — mimo różnych masek i kostiumów — te same, ciemne, wymowne oczy, — oczy Józefa Węgrzyna. Fotografie pochodza z różnych epok — bo Józef Węgrzyn, którego przedstawiają, nie od wczoraj służył scenie polskiej.

Omal pół wieku w teatrze, to długo, mierząc długością życia ludzkiego — to równocześnie kawał historii, może najciekawszej, polskiego teatru. Bo też dane było Węgrzynowi rozpocząć swą działalność sceniczną w epoce wyjątkowej dla sztuki polskiej.

Kraków w pierwszych latach naszego wieku przeżywa okres przebudzenia i fermentu artystycznego, chciałoby się rzec — okres prawdziwej rewolucji.

Szumi bujnym życiem Akademia Sztuk Pięknych, rozkwita młoda poezja, powstaje nowy, gwałtownie się modernizujący teatr. Odważny dyrektor — Tadeusz Pawlikowski — otwiera w nim okna na świat, aby wpuścić nieco świeżych powiewów w usypiającą atmosferę, jaka oddawna tam panowała; Gabryela Zapolska przywozi z Paryża nowiny o innym niż u nas, naturalistycznym stylu gry i inscenizacji teatralnej; premiery dzieł Wyspiańskiego elektryzują społeczeństwo, dyrektorowie tej miary, co Kotarbiński i Solski dbają niezłomnie o coraz wyższy poziom repertuaru.

Młodziutki wówczas Józef Węgrzyn chłonie głęboko tę bogatą rzeczywistość artystyczną ulegając jej urokom Nie tylko zresztą sama aura jego rodzinnego miasta — także najbliższe otoczenie skłaniają zainteresowania młodego człowieka ku sztuce dramatycznej; — starszy brat Józefa, Maksymilian, jest od lat cenionym aktorem i reżyserem w teatrach lwowskich — i właśnie pod jego opieką debiutuje 20-letni Węgrzyn w głośnej wtedy sztuce Zapolskiej „Małka Szwarcenkopf", grając w niej Kahlhorna. Młody aktor z miejsca zdobywa powodzenie i już w następnym sezonie, w roku 1905, podziwia go publiczność krakowska na deskach Teatru Ludowego.

Węgrzyn należy do pokolenia, które dało scenie polskiej garść naprawdę tęgich talentów — nazwiska Marii Dulęby, Jaracza, Osterwy — świadczą wymownie o tym. Trzeba przyznać, że los nie poskąpił Węgrzynowi warunków cennych w jego zawodzie — dał mu przede wszystkim głos — głęboki i mocny, miękki w ściszeniach lirycznych, dźwięczący, jak metal w monologach bohaterskich, dalej postać smukłą i zgrabną, choć niewysoką — wreszcie umiejętność posługiwania się gestem, zawsze wytwornym i szczególny, cechujący go urok osobisty, zawsze zniewalający.

Te zalety predystynowały go, jak mało kogo, do ról amantów i bohaterów romantycznych. Wiec czy możemy się dziwić, że tak łaskawie obdarzony przez naturę aktor mógł podobać się publiczności? Szczególnie. kiedy rozpoczął grać na scenie teatru Słowackiego w Krakowie, gdzie rządził wówczas Ludwik Solski, wymagający, często kapryśny ale zawsze twórczy, wychowawca i nauczyciel.

Moment przejścia na tę scenę jest dla Węgrzyna decydujący. Dostaje się tu do zespołu artystów wybitnych, często prawdziwych znakomitości, takich, jak Leszczyński, Zelwerowicz, czy Kamiński. Poziomu gry tego zespołu, poziomu repertuaru tej sceny nie powstydził by się nie jeden z teatrów Europy.

Węgrzyn przechodzi w Krakowie świetna szkolę — zdobywa tajemnicę techniki aktorskiej, dojrzewa artystycznie. Gra role trudne i różnorodne, wyżywa się w walce o trafną interpretację rzeczy często niewdzięcznych, potrafi błysnąć w wielkim repertuarze — jest tragicznym Orestesem w „Elektrze" i odrażającym Kostrynem w „Balladynie", albo znów pełnym tajemniczości nieznajomym w „Kordianie". Świetnie odtwarza wizyjne postaci z dramatów Wyspiańskiego. Recenzenci ówcześni podkreślali jego kreacje w „Wyzwoleniu", gdzie grał Geniusza, czy ciekawą interpretację Rapsoda w „Legionie". Wciąż doskonaląc swój talent osiąga sukcesy zarówno w komedii klasycznej, jak i w sztukach współczesnych.

Na parę lat przed pierwszą wojną światową zaczyna promieniować silnym blaskiem nowa scena — tym razem w Warszawie. Młodemu i pełnemu entuzjazmu dyrektorowi, Arnoldowi Szyfmanowi, udaje się stworzyć ciekawą i pożyteczną placówkę, jaką stał się niewątpliwie Teatr Polski. Teatr ten skupia najlepsze siły aktorskie, tworząc równocześnie odważną linię repertuaru. Działalność teatralną Szyfmana i jego rolę w życiu artystycznym kraju oceniać można różnie, ale chyba zawsze należy przyznać mu ambicję tworzenia teatru w wielkim stylu.

Węgrzyn i tutaj pozostaje artystą doskonałym, zastanawiając bogactwem swych możliwości. Jest równie kapitalny w rolach charakterystycznych, jak w postaciach z klasycznego repertuaru i sądzę, że nie będzie przesady, gdy powiem, że obok Osterwy, najlepszy to wówczas odtwórca wielkich bohaterów romantyzmu: Irydion obok Gustawa, Kordian obok Zbigniewa z „Mazepy", Semenko w Śnie Srebrnym Salomei, i Stanisław w Złotej czaszce.

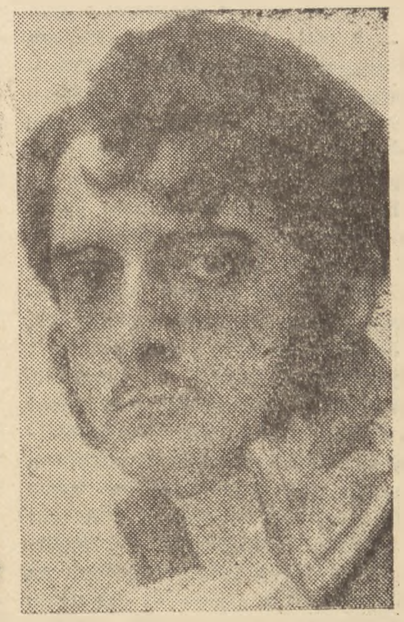
Węgrzyn zawsze czaruje swym glosem, recytując wspaniale poezję. Jest nieporównany, gdy chodzi o wydobycie przebogatej tonacji wiersza polskiego. Jego dykcja zawsze nienaganna, umiejętne operowanie skalą głosu, pasja odtwórcza, to efekty któ[illegible] go nigdy nie zawodzą.

Jak każdy wytrawny aktor dba stale o wzbogacenie swego repertuaru, sięgając po rolę, tak kontrastowe, jak goetheański Faust — albo Janek z „Lampki Oliwnej" Zegadłowicza. Ci którzy widzieli go w „Don Juanie", Zorilli, nie mogą zapomnieć tej kreacji, godnej wielkiego aktora. Węgrzyn umiał, jak chyba nikt u nas, wcielić się w postać słynnego uwodziciela, ukazać tajemnicę psychiki i gorzką poezję nieśmiertelnego awanturnika.

Kiedy przeglądać Roczniki Teatralne, uderza obfitość sztuk, w jakich grywał Węgrzyn. Tylko ten, któ ry miał okazję bliżej współżyć ze sceną, potrafi ocenić ile wysiłku, a nieraz serdecznej męki pochłania takie wcielanie się w wciąż nową postać sceniczną. W pracy aktora tworzywem jest przecież jego własne ciało i jego psychika. Węgrzyn był niezmordowany. Trudno aż uwierzyć, że grał tak wiele i rzeczy tak różnorodne. A warto przypomnieć, że był też popularnym aktorem filmowym, jednym z pierwszych, którzy towarzyszyli tej nowej gałęzi sztuki aktorskiej od jej prymitywnych początków.



Na deskach teatrów T.K.K.T. na których pracuje od 1935 r. utrzymuje niezmiennie swą wysoką klasę, sięgając odważnie po rzeczy najtrudniejsze; — wystarczy wymienić Króla Leara, czy schillerowskiego Fiesca; jest nadal niezrównany w rolach lirycznych, warto przypomnieć chociażby Horsztyńskiego.



Wojna nie oszczędziła Węgrzyna; faszyści niemieccy okazali się pamiętliwi, nie wybaczyli mu parodii Hitlera jaką dał grając Duttlera w „Genewie" Shaw'a. Za tę właśnie rolę został Węgrzyn uwięziony. Przejścia więzienne zrujnowały mu zdrowie, okupacja i wojna zabrały syna Młody, świetnie się zapowiadający aktor, Mieczysław Węgrzyn zginął zamordowany przez okupantów w 1942 roku, w obozie koncentracyjnym.

Widocznie jednak już tak jest z ludźmi teatru, że nic, najgorsze nawet nieszczęścia osobiste nie mogą oderwać ich od umiłowanego zawodu. Skoro tylko kraj został uwolniony od zmory faszyzmu i ledwie życie poczęło rozkwitać na nowo. Węgrzyn wraca na scenę. Znowu lśni w wielkich rolach; pokazuje nowej, jakże chłonnej i wdzięcznej publiczności postaci z wielkiego repertuaru, choćby takiego Króla Alonsa z Szekspirowskiej „Burzy". Gra także w sztukach radzieckich, tworzy plastyczną a jak przecież trudną do zagrania postać Hardy'ego z „Zagadnienia rosyjskiego" Simonowa.

*

JÓZEFA Węgrzyna nie ma już wśród nas. Teraz, kiedy to pracowite życie dopełniło się, warto może zapytać, co zostało z tyloletniej działalności, tylu wysiłków, osiągnięć i trudów, co z piękna, jakże ulotnego, które tworzył na scenie. Czy tylko parę fotografii, na których majaczą zjawy z romantycznych dramatów?

Wierzymy, że nie tylko — została pamięć po artyście najwierniejszym swej sztuce, została cześć dla wielkiej pracy obejmującej prawie pół wieku służby scenie polskiej i polskiej poezji.

M. B.

fot. Malarski i Tavrell

że w ten sposób wsteczne poglądy społeczne tych działaczy katolickich związanych z interesami klasy mieszczańskiej, ludzi upatrujących w klęsce „ich" świata — klęskę Kościoła, są zaszczepiane szerokim masom katolików, pozostających pod ich duchowym wpływem. Niezależnie od swoich opinii o wartości społecznej „reform" i „porządku" faszystowskiego, jeszcze liczniejsi katolicy upatrują w faszyzmie cennego sojusznika w walce z ateizmem komunistycznym.

DLACZEGO działacze konserwy katolickiej umieją znaleźć wspólny język w kwestiach politycznych z ateistycznie usposobionymi radykałami czy oportunistycznymi socjaldemokratami, a nie potrafią porozumieć się w tychże zagadnieniach z ateistycznie nastawionymi komunistami?

Dlaczego tak wstydliwie bąka się o moralnych skutkach mechaniki działania kapitalistycznego ładu społecznego, pasożytującego na krzywdzie milionów ludzi wydziedziczonych?

Dokładniejsza analiza faktów wykazuje, że przesłanki religijne nie odgrywają roli rozstrzygającej w opowiedzeniu się znacznej części społeczności katolickich za reakcją społeczną. To nie lęk o dobro wiary decyduje o tym w ostatniej instancji, lecz lęk o utratę posiadanych przywilejów społecznych, które nowy porządek społeczny bezlitośnie przekreśli.

Wszak wybuch rewolty frankistowskiej powitano w szeregu krajów katolickich jako triumf Kościoła nad „bezbożną" republiką hiszpańską i trzeba było dopiero gorzkich słów Bernanosa i Maritaina, aby te naiwne zapały bodaj w części ostudzić; wszak znakomity skądinąd poeta katolicki Claudel piastuje godność członka najwyższej rady neofaszystowskiego RPF de Gaulle'a; wszak wybitny powieściopisarz katolicki Mauriac trudni się pisywaniem artykułów wstępnych do skrajnie reakcyjnego „Figaro",

Dla faszyzmu katolicyzm, czy w ogóle religia stanowi wartość czysto użytkową, zapewnia się jej swobodę tylko w tym stopniu, w jakim można ją zdyskontować dla własnych celów politycznych. W Hiszpanii Franco Kościół cieszy się ogromną swobodą; ale tylko o tyle, o ile katolicy hiszpańscy zgadzają się pełnić funkcję jednego z głównych filarów reżimu.

OSTATNIA SZANSA

UWARUNKOWANIA socjologiczne wrastają tak głęboko w psychikę mieszczańskich działaczy katolickich, że są oni skłonni utrzymywać z całą szczerością, że ich punkt widzenia, zatem punkt widzenia klasy mieszczańskiej jest nie tylko jedynym rozsądnym punktem widzenia, ale że jest jedynym chrześcijańskim punktem widzenia.

Ale nie subiektywne przeświadczenia i teoretycznie dobre intencje są ważne, a ich obiektywna wymowa. Ważne są skutki, a te są zastraszające. Ludzie o mentalności mieszczańskiej nie mogą nie dostrzegać, że „ich" świat stoi na skraju przepaści. Dynamizm sił obozu rewolucji społecznej, kierowanej przez świadomą już swego powołania historycznego klasę robotniczą, nie pozostawia żadnych złudzeń co do tego, że podminowany cierpieniami milionów pariasów społeczeństw kapitalistycznych — ten świat musi runąć nieuchronnie.

Tak charakterystyczna dla tradycyjnego mieszczańskiego modelu ustrojowego chwiejność i niezdecydowanie w kierowaniu aparatem państwowym tym silniej pogłębiają ten lęk mieszczan przed zbliżającą się klęską. I wówczas ich nadzieje kierują się w stronę faszyzmu, który — rozumieją oni to dobrze — nie zamierza bynajmniej ich wydziedziczyć, a ponadto potrafi skutecznie sparaliżować „wywrotową" działalność ruchu robotniczego. Tylko faszyzm zdolny jest przedłużyć agonię świata kapitalistycznego — naiwni mieszczanie łudzą się w głębi ducha, że on tę agonię przemieni w jakieś cudowne odrodzenie, że zabezpieczy na długie lata ich „ład społeczny".

Razem z całą klasą mieszczańską, związani z nią interesami i obciążeni bagażem mieszczańskiego stylu myślenia, konserwatywni rzecznicy opinii katolickiej krajów zachodnich pokładają swoją ostatnią ufność w reżimach faszystowskich, czy de facto kryptofaszystowskich, jakimi są np. rządy francuski czy włoski.

Katolikom, którzy odczuwają autentyczną troskę o przyszłe losy Kościoła na ziemi, takie mieszanie interesów klasowych, określonych historycznie, z ponadhistorycznymi interesami nadprzyrodzonej instytucji Kościoła — nie może nie zasępiać czoła. Z całą bowiem pewnością orzec można, że przyszłość katolicyzmu — w tej mierze, w jakiej jest ona funkcją świadomego działania ludzi, a nie skutkiem ukrytego działania Opatrzności Bożej — nie jest uzależniona od więcej niż ryzykownego powierzania obrony Kościoła najbardziej wstecznym kierunkom polityczno-społecznym. Ostrzeżenie przeciw syrenim głosom pseudokatolickich ruchów faszystowskich jest sprawą niezmiernie aktualną.

Ignacy Rutkiewicz

Jerzy KRZYSZTOŃ

BIAŁO

I

— A jaj! A jaj! Białogęby, coś ty przyniosł?! A niech cię... Wszystkie guziki rozbite! I ty chcesz u mnie pracować?! Na mojej sari dwie plamy od farbki! Niedoczekanie twoje...

Białogęby siedział w kucki, oparty plecami o ścianę. Objąwszy rękami kolana, patrzył na płytę kuchenną, gdzie właśnie tańczy kociołek i miga przyjaźnie pokrywką.

— Wiesz co bym z tobą zrobiła?! Wytłukłabym ciebie o kamienie tak, jak ty tłuczesz moją bieliznę! A tfu, na ciebie, a tfu! Najładniejszy kawałek, ta koszula w paski, na plecach pęknięta! A jaj, w czym mój stary będzie chodził?! A tfu!

Jakżeż ta zupa pachnie, pachnie... Białogęby oparł podbródek na kolanach. Jeśli się od lat dziesięciu bierze z rąk matki Pardesi „rzeczy" do prania, jeśli jest się dhobim od trzech tuzinów lat, jeśli się spełnia swój obowiązek nie lepiej i nie gorzej, niż kilka tysięcy kolegów po fachu, praczy bombajskich, — spokój, doskonały spokój staje się cechą zawodową. I nie ma nic lepszego nad dobrą zupę z groszku, marchwi, papryki i zapiekanej cebuli. „A tfu, na ciebie, a tfu!" Matka Pardesi nie jest wcale taka znowu zła. Są gorsze babska, przy których człowiek ostatkiem sił goni. Przecież inaczej, nikt nie nazywałby jej — matką. Jest chuda, jak spracowana oślica. Wiadomo, taki dom prowadzić, te wszystkie uczniaki i studenty na mieszkaniu. Stłoczone to i nędzne. „Matko Pardesi, matko Pardesi, kot mi śniadanie zeżarł. Zaspałem". Ze wszystkim przychodzą. Sam widział nieraz. I ten sklepik w bramie, gdzie siedzi Pardesi, ojciec rodziny. I tam jej nie brak. Kobita jest jak się patrzy, szkoda gadać. Taką mieć w domu, i porządek byłby i spokój... Cóż tam Shima, tylko dzieci rodzić potrafi.

Matka Pardesi targnęła go za ramię.

— Śpisz?

— Nie, nie. Czekam na zupę.

— A bodajby cię... Wszystką bieliznę zniszczył, poniewierał i... czeka na zupe! A tfu! Białogęby, Białogęby, czemuż cię matka nie poroniła?!

— Trudno mi wiedzieć — burknął

— Jeszcze pyskujesz?! Masz zupę, zatkaj się. Podała mu dymiący talerz. Ręce miała spracowane, paznokcie twarde, na palcach blizny od noża.

— No, jeść i nic nie gadać.

Wróciwszy pod kuchnię, mieszała ogromną warząchwią kapustę w potężnym garze.

— Wszystko przeciw biednej kobicie. I ten stary niezguła, co siedzi w sklepie i psuje powietrze. Powiedzcie, ludzie, czy to ma być mąż?! Towaru zachwalić nie potrafi, zapakować nie umie, reszty wydać — myli się! Spałby, żarłby i srrr... No, co ślepisz na mnie, nie widziałeś? Nie słyszałeś, to ci powiem! ...i srałby. Ot, tyle i z niego pożytku. Oszaleć można.

Przeciągnęła warząchwią po dnie garnka, aż zapiszczało.

— A potem przyjdzie taki głupiec, pracz się nazywa. Łeb ma siwy a durny. I przynosi ci bieliznę z prania. Pięćdziesiąt kawałków. Żaden cały. Wszystko albo bez guzików, albo poplamione, albo porwane. Oj, ludzie, ludzie... Ty, tam pod ścianą, chcesz jeszcze zupy? Mogę dolać.

— Już dziękuję, matko Pardesi. Wolę kapustę.

— On woli ka-pus-tę!! — przesylabizowała — A tfu!

Drzwi, pchnięte nagle, uderzyły o szafkę. Szklanka z mlekiem upadła na podłogę. Szkło prysnęło na wszystkie strony. Gospodyni skamieniała. Białogęby starł z twarzy krople mleka. Młody człowiek w drzwiach ciężko dyszał.

— Matko...

— Jestem dla ciebie tylko matką Pardesi, zapamiętaj sobie. Za szklankę i mleko płacisz. Tylko matką Pardesi. Jeszczem młoda, żeby mieć syna z takimi wąsami.

— Matko... Policja przed domem.

— Policja? No, to co, do nas nie przyjdą.

Chwycił się rękami za głowę.

— Kiedy oni po mnie....

— Ach, toś ty taki! Widziałam te książeczki, widziałam... Masz je tutaj?!

— Nnnie. Oddałem.

— I ja takiego kogoś w swoim własnym domu!... Boisz się teraz, co? Tak ci ręce latają... Nic, nic. Już cię chowam. W komórce. Białogęby, coś gębę rozdziawił, rusz się. Zamknij drzwi. Oprzyj się plecami. Jak będą walić, trzymaj. Choćbyś pękł, trzymaj. My tymczasem przez podwórze...

—— Cały dom, matko, obstawiony. Nie ma jak...

Kręcił się bezradnie w miejscu. Łamał palce.

— Dajcie mi nóż.

— Dureń.

Gospodyni podeszła do okna. Patrzyła zza firanki.

— Są. Nie kłamiesz.

Podrapała się w głowę. Młody człowiek usiadł na podłodze, schował twarz w dłoniach. Białogęby szczękał zębami. Matka Pardesi odwróciła się szybko od okna. Chwyciła kawałek gazety, zwinęła go w rulon. Zsunęła z trzaskiem fajerki. Z płonącą gazetą w ręce, podbiegła do młodego.

— Masz, pal.

— Co??

— No, jakto — co. Wąsy.

— Wą....

— Zamknąć oczy. Nic nie gadać. Nie ruszać głową. Spokojnie. Piecze, co? A po cholerę łazisz, gdzie nie trzeba. Nie lepiej było cicho siedzieć. Nic się nie bój. Skóry nie spalę. Mam wprawę, z kurczakami. Gotowe. Białogęby, słyszysz, to jest twój pomocnik, przynieśliście razem bieliznę od prania. Zjeżdżać, już was nie ma. Pogładź ręką, Arvind, nic cię nie zasmoliłam, dobra robota. Białogęby, przyjdź za tydzień, będzie pranie.



Wypchnęła ich obu za drzwi.

— Iść śmiało. Jazda.

Trzasnęła klamką. Zostali na korytarzu. Schody szły stromo w dół. Półmrok. Ale nie ma nikogo. Widocznie są tak pewni, że czekają na dole. Pracz pociągnął towarzysza za rękaw.

— Wiesz jak się nazywam. To od tych plam na gębie. Znaczny jestem, psiakrew. Mówmy głośno o koszulach. Wymyślaj matkę Pardesi. Głośniej, głośniej. Ja też. Mów mi: Białogęby, tak jak wszyscy. Chodźmy.

Dwaj tajniacy w drzwiach na podwórzu przepuścili ich łatwo.

— Co, pomstujecie na starą? Oszukała was. Ale tym razem nie ujdzie jej na sucho. Ładne ptaszki u siebie chowa.

Drugi o bardzo miłej twarzy, mruknął:

— Nie przychodźcie tu więcej. Nie będzie po co. Stara Pardesi pójdzie za...

Złożył wymownie palce obu rąk. Białogęby roześmiał się.

— No, wreszcie i na tę jędzę przyszła kryska...

Skręcili w bramę. Śmierdziało w niej, jak w niechlujnej oborze. Błysnął szybami sklepik.

— Cóż to znowu?! Pan prawnik bez...

Białogęby, wrzasnął szybko:

— Kumie Pardesi, kumie Pardesi! Coś wam powiem...

Podbiegłszy do niego, szepnął:

— Zamknij się, głupcze. Nas szuka policja.

Potem głośno i wyraźnie:

— Dajcie mi tego tytoniu. Na kredyt. Wasza stara ma u mnie dług. Bądźcie zdrowi.

Pardesi omal nie udławił się własną fajką.

ARVIND zagryzał wargę. Było mu wstyd, jakby zrobił coś wielce nieprzyzwoitego. Nie chciał podnieść oczu, sądząc, że wszyscy przechodnie patrzą nań z politowaniem. Nawet płyty chodnika, upstrzone czerwonawą plwociną, wyglądały kpiąco. Przeciągnął językiem po górnej wardze tak wysoko, aż wyczuł ostrość zarostu. To tam były piękne, miękkie, gęste wąsy. Psiakrew! Lęk znów nim targnął niespodziewanie. Krople potu na karku. Dreszcz. I rosnąca, wciąż rosnąca pustka w piersiach. Zerknął na boki. Uspokajał się. W tym tłumie nie wyglądali intrygująco. Pochylił głowę. Musiał się z sobą rozprawić. Teraz, od razu. Z tchórzem podszytych Partia ma tyle pożytku co chłop z kulawego osła. Przy tej robocie trzeba mieć nerwy jak postronki, a nie — sieć nitek, które drżą za najlżejszym dotknięciem, pękają przy uderzeniu. Tak się bać... Komunista, psiakrew! Tak trząść portkami! Każdy by go wyśmiał. Zacisnął pięść, wbił paznokcie w dłoń. Nawet wobec siebie był obłudny. Przecież nic się nie skończyło. Wszystko trwa. Nic się nie kończy, chyba ze śmiercią. Ale on nie zginął. I trwa jeszcze ten ułamek, czy ta bryła czasu, kiedy siedząc na podłodze w kuchni matki Pardesi, postanowił, że nie wróci, że już nigdy więcej nie będzie miał nic wspólnego z Partią, z komunizmem, z robotą. Jeśli tylko nie wpadnie w macki policji, jeśli uda mu się, ten pierwszy i ostatni raz. Teraz trzeba było wybrać.

— Napijmy się, ledwo zipię.

Białogęby pociągnął go za rękaw. Arvind poszedł niechętnie. W herbaciarni było szaro od słodkiego dymu. Wszyscy ćmili podławe papierosy, zawinięte w liście suchego tytoniu. Gdzieś w kącie znalazł się wolny stolik.

— Cza-ha don — wysapał Białogęby, pokazując kelnerowi dwa palce, żeby nie miał wątpliwości.

Ten białawy ukrop w mosiężnych kubeczkach, zbijał nieprzyzwyczajonych z nóg po pierwszym łyku. Arvind, zamyślony, wziął w usta herbatę jednym haustem. Krztusząc się i prychając, wypluł wszystko pod blat, na własne spodnie. Zaklął. Przy najbliższym stoliku trzej policjanci parsknęli śmiechem. Arvind zaczął kląć na dobre, nie przebierając w słowach. Piekło go podniebienie, usta, gardło, w tym wszystkim język z rozpalonego żelaza.

— Cicho, cicho — uspokajał go pracz. — Ja też tak kiedyś. Ojciec mnie przyprowadził. Ot, takiego dzieciaka, na herbatę. Jakbyś miał piec w gębie piecze i pali, co? To trzeba pomału, spokojnie...

Siorbnął, aż Arvindowi ciarki przebiegły po plecach. Czuł, jak mu do oczu napływają łzy. Otworzył usta i wdychał wolno powietrze. Pomagało.

— O, to, to, właśnie — powiedział Białogęby. — Tak trzeba, zaraz ci będzie lepiej.

Wypił swoją herbatę. Otarł dłonią usta. Zastukał w stolik. Zapłaciwszy kelnerowi, pochylił się w stronę Arvinda.

— Uff, dopiero teraz mi przeszło... Nigdy się tak nie bałem, nawet jakeśmy kiedyś z ojcem kradli bieliznę z cudzego buttee... Najgorzej wpaść za kratki, jak kamień w wodę, raz wleciesz i po tobie.

Arvind kiwnął głową. Spodnie, od kolan w dół, miał mokre. Ale wolał iść nawet tak, niż znosić dłużej towarzystwo policjantów. Już dwukrotnie tego samego dnia ośmieszył się raz przez, a raz wobec przeklętych ludzi w zielonych, drelichowych mundurach. Wstał.

— Duszno w tej knajpie. Chodźmy.

Kamienice położyły się cieniem wszerz ulicy. Po przeciwnej stronie słońce skrząc, tuliło się do okien. Arvind szedł z otwartymi ustami. Nawet nie myślał, że może wyglądać jak półgłupek. Teraz wiedział skąd przychodzi lęk. W owym momencie, przy oknie, kiedy przed dom zajechał wóz policyjny... Ta chwila — między zaciśnięciem w palcach firanki, a pierwszym krokiem w głąb pokoju, kiedy zawaliło się wszystko, wszystko wzięło w łeb. Siatka w oknie i siatka więzienna. Za nią twarz ojca, szara, prawie niewidoczna. Trzeba było przytknąć policzki do samych drutów... Ma się tych śmiesznych dwanaście lat. W ustach słono od łez. Potem ktoś cię chwyta za ramiona, odrywa. Za siatką widać jak ojca odciągają, klnąc, dwaj dozorcy. Zza siatki już się nie wychodzi. Raz wpadłeś i po tobie, jak mówi Białogęby. Arvind poczuł się lekko, uniósł głowę. Teraz będzie mógł im wytłumaczyć, uwierzą. Znał już ten motorek lęku, mógł nad nim zapanować. Po prostu nie da mu więcej paliwa, aż wszystkie śrubki zardzewieją, pójdzie na szmelc, do śmietnika, gdzieś na peryferiach pamięci. Spojrzał w bok. Białogęby szedł posapując, o pół kroku za nim, z prawą ręką odchyloną, jakby chciał go objąć i ochronić, jeśli zajdzie potrzeba. Białe plamy na czarnych policzkach, na szyi i na czole, wyglądały ohydnie. Niedoszły albinos. Trzeba było się do nich przyzwyczaić. Świetny z niego towarzysz, nie naprzykrza się, milczy. Żeby nie ta cholerna herbata... I nagle zrozumiał, że to wszystko było po prostu śmieszne, i matka Pardesi z gazecianą żagwią w ręce, i skwierczące wąsy, i szklanka z mlekiem, wybuchająca na podłodze, i ten ukrop w ustach, i w ogóle cała ta ucieczka... Powiedział, uśmiechając się.

— No, już mi portki wyschły. A daleko to jeszcze do was?

— Prawie-śmy w domu. Czy możesz teraz iść trochę wolniej, bo ja słabo biegam.

— Ależ naturalnie. Czegoście mi wcześniej nie powiedzieli?

Białogęby machnął ręką.

— Złemu nie mów, że zrobiłeś dobre pieniądze, zamyślonemu — nie opowiadaj o swoich dzieciach i żonie.

— Dobry z was człowiek. Dziękuję wam.

— Też coś. Ceregiele.

Arvind rozglądał się ciekawie. Wchodząc w te kręte, wąziutkie uliczki, gdzie domy wyglądały jak twarze opryszków — jednookie, podrapane, brudne, — trudno było uwierzyć, że z tyłu, za plecami, na odległość wzroku, leżał Bombaj, miasto ogrodów, promenad, luksusowych dzielnic. Tu, im dłużej się szło, tym zaduch stawał się nieznośniejszy. Lepione z gliny domki ugrzęzły w śmieciach tak głęboko, że już nikt nie wiedział czy wyrosły ze stosów tej zgnilizny, czy same z siebie tę zgniliznę rok po roku wydalały. Smród uderzał do głowy silniej niż alkohol. Wszystko było żółte, i lepianki, i scherlałe kaktusy, i dzieci z ogromnymi brzuchami. Kościsty muł miętosił w zębach jakąś szmatę. Musieli go obejść, gdyż stał rozkraczony w poprzek uliczki. Z czegoś, co było kiedyś pokaźniejszym budynkiem, została tylko przednia ściana, upstrzona napisami: Niech żyje front wyzwoleńczy! Anita ma kochanka! Dżai Hind! Gopal to świnia! Precz z Anglią!, i bardzo niewprawną ręką skreślone: guwno.

— Tu była szkoła — objaśnił Białogęby. — Spaliła się, będzie z dwa lata temu.

— A dzieci już się nie uczą?

— Dlaczego? Ot, tam, w szopie.

Przysadzista szopa, kryta matami, na pierwszy rzut oka przypominała stajnię. Dopiero później spostrzegało się tablicę i stolik, tkwiące w głębi. Dzieci musiały siedzieć na ziemi, w kucki. Wszystko tu było nowe dla Arvinda. Zawsze go wyznaczali do roboty na uniwerku. „Twoje środowisko. Najlepiej znasz, trzymasz w garści. Nie pchaj się, gdzie nie wiesz, z której strony biją". Zaledwie trzy, cztery, wypadły na wieś. Ale tam było inaczej. Choćby takie napisy. W całej wsi nikt alfabetu nie zna.

— Powiedzcie, kto to jest Gopal?

Białogęby zerknął na Arvinda. Był wyraźnie zaskoczony.

— Gdzieś ty słyszał o Gopalu? W mieście coś mówią?

— Nie, nie. Czytałem tylko. Na szkole pisze.

Pracz milczał. Widać było, że się waha, i chciałby o coś spytać, i się boi. Strzepnął palcami.

— Powiedz mi, co tam wypisane...

Arvind, udając, że nie spostrzegł wahania Białogęby (ci pracze są diablo dumni!), odpowiedział szybko:

— Gopal jest świnia.

— A to prawdziwie piszą! To mu, he, he, dosolili.

Wziął Arvinda pod rękę. Mówił ciszej, pospiesznie:

— Gopal, bogata bestia. Wydzierżawia wszystkie stanowiska na Mahalakshmi ghat. Nikomu bez jego wiedzy nie wolno prać. Ma sługusów, pilnują. Stanowisko się popsuje, czy to beton popęka, czy woda nie dochodzi — wszystko sam musisz naprawić. Nie pomoże, nie da ulgi. Choć byś nogi wyciągnął. Mówią, że ma dwa domy w mieście i własne kino. Ledwiem trzy razy go widział, a pracuję od dziecka. Stary już jest. Bierze dwadzieścia pięć od stu. Ostatno podniósł na dwadzieścia siedem. Tyle kawałków trzeba wyprać, wysuszyć, odprasować, i nic człek z tego nie ma, aż złość czasami chwyta...

— A ilu was tam pracuje?

— Będzie z pięć tysięcy.

— I nic nie potraficie zrobić razem?

— Byli tacy, co próbowali. Ale tak, to przyzwyczailiśmy się, tyle lat...

Arvind zamyślił się. Ciekawe, czy ktoś działa wśród bombajskich

GĘBY

dhobi. Trzeba by się spytać. Nie, lepiej cicho. Najpierw zbadać teren, zorientować się, poznać ludzi, a później wystąpić z gotowym projektem na zebraniu. Muszą mu przyznać tę robotę. Na uniwerek już nie wróci. Będą go tam szukali, po rewizji w mieszkaniu. W ogóle koniec ze studiami, przynajmniej oficjalnie. Szkoda, w tym roku byłby dyplom.

Arvind kiwnął głową. Patrzyli, milcząc, na dwie smukłe sylwetki, kobiecą i dziewczęcą. Było jakoś zacisznie, ciepło i dobrze. Ktoś śpiewał w oddali. „Miałem raz wołu wielce spokojnego..." Smutny głos odbijał się w załamaniach uliczek, ocierał o rogi domów. Ściany powtarzały: łu, łu, łu... ce, ce, ce...

— Zabierzecie mnie ze sobą do roboty?



Poślizgnął się na butelce. Trzasnęła pod obcasem. Białogęby podparł go ramieniem.

— My tu zawsze patrzymy pod nogi — mruknął.

Jakaś dziewczynka bawiła się zdechłym kotem. Ciągnęła go za ogon, obsypywała piaskiem, tarmosiła za uszy. Była tak zajęta i rozradowana, że nie spostrzegła jak podeszli. Białogęby położył jej dłoń na ramieniu i lekko palcami klepnął kilkakroć chudy policzek.

— Zostaw to. Idź do domu, Sanni. Kota trzeba spalić. Zrobimy mu pogrzeb, razem. A teraz idź...

Dziewczynka wstała posłusznie.

— Dobrze, tata.

Popatrzyła na nieznajomego spod przymrużonych powiek, z wyraźnym zaciekawieniem, nim znikła za najbliższymi drzwiami, wołając:

— Mamo, mamo, gość przyszedł!

Białogęby uśmiechnął się.

— To moja najstarsza. Sprytne licho. Jak wyżyje, będzie z niej dziewczyna że hej. Ale proszę, tędy.

Z małej sionki weszli do ciemnego pokoju, zastawionego w połowie stołami upranej bielizny. Pod oknem kręgliły się główki dzieci. Już spały. Arvind naliczył ich cztery. Między zmierzchem w pokoju a zmierzchem na dworze, nie było granicy. Smukła kobieta wniosła lampę. Gdy tak stała w kręgu światła, cienie tuszowały resztki niegdyś chyba znacznej urody. Miała duże, zmęczone oczy.

— To nasz gość, Shima. Daj nam coś zjeść.

Arvind ukłonił się. Kobieta schyliła głowę. Wysunęła matę spod ściany.

— Proszę, siadajcie. Zaraz coś przygotuję.

Przez uchylone drzwi na podwórze widać było jak Sanni, leżąc na brzuszku, dmuchała w żelazny piecyk. Węgielki rozżarzały się wolno. Wyskoczył jeden płomień, próbując sił, za chwilę podparł go inny. Sanni zaczerpnęła tchu, wydęła buzię. W różowym świetle jej oczy miały połysk i wielkość świeżutkich migdałów. Węgielki buchnęły ogniem.

— Mamo, gotowe. Można stawiać.

Krzątały się obie wokół piecyka. Arvind oparł się na łokciach, leżał. Białogęby zsunął sandały, podwinął nogi.

— Pozwolisz, że przykręcę lampę, mało nafty.

— No, czemużby nie. Tylko robota ciężka, ale dasz radę, jesteś młody.

Wyciągnął się obok Arvinda, włożył ramiona pod głowę.

— Wiesz, kiedyś pracowałem z synem. Był tego wzrostu co ty, tyle, że w barach szerszy. No, robota szła, aż świszczało. Ale im więcej uprałeś, tym większy podatek. Chcesz betelu? Przygotuję ci.

— Dzięki. Nigdy nie żułem.

— Spróbuj. To dobre na zęby i w ustach świeżo...

Wyjął z sakiewki dwa młodziutkie liście. Posmarował je czymś białym, a później dosypywał po szczypcie szarych, krótko pociętych, korzonków. Trzema palcami zwinął od razu w lewej i prawej ręce zgrabny, zielony kwadracik.

— Żuj wolno, najpierw piecze trochę w język. Teraz dobre, co? No i wiesz, któregoś dnia powiedział, że woli iść do wojska, niż tłuc cudze łachy o kamienie.

Białogęby wziął zardzewiałą puszkę, podniósł do ust, strzyknął śliną.

— Jak chcesz splunąć, to tutaj. Dostał ode mnie w twarz. Bo to i dziad mój tu pracował, i ojciec, zawodu przeklinać nie wolno. Niechby powiedział inaczej, poprosił. A tak... Już z dwa lata będzie. Napisał list, z Afryki, zaniosłem do nauczyciela. „Przebacz, ojcze, i błogosławieństwo swoje daj". Cóż było robić... dałem. Najstarszy syn, jeden co się uchował. Ot, i przysyła paczki. Wojskowe buty, koszule, matce na bluzkę ładne płótno w kwiaty. A w tej puszce była ryba z sosem, ale smaczna...

Shima wniosła parujące mleko. Rozlała w kubeczki. Sanni podała na talerzu duży placek.

— Proszę, jedzcie... A ty, już betel. Tylko wejdzie do domu, od razu chwyta za betel. — Popatrzyła na Arvinda — I wy też nie lepsi...

— Ja, matko, pierwszy raz — powiedział Arvind usprawiedliwiająco.

— Pierwszy? No, i cóż ty sobie, mężu mój, myślisz? Namawia młodego człowieka... Toż żona z nim utrapienie będzie miała, zapluje na czerwono całe mieszkanie...

— Daj pokój, Shima, daj pokój Toć to gość...

— A czyż ja co złego mówię? — klasnęła w ręce — Sanni, kładź się spać, szybko. No, jedzcie już, jedzcie...

Obaj splunęli skrzętnie w puszkę. Potem pili mleko, zagryzając plackiem. Był świeżutki, chrupiący. Pachniał dobrą oliwą i przyjemnym aromatem pieczonej cebuli. Sanni wślizgnęła się pod derkę, powiedziała: dobranoc, i zasłoniła rączką oczy od światła. Arvind był pewny, że nasłuchuje, udając sen. Uśmiechnąwszy się, powiedział:

— Jeszcze nie jadłem takiego placka. Nawet matka Pardesi robi gorsze.

Wprawił Shimę w zakłopotanie.

— To już ostatni...

— Ale ja wcale nie dlatego, żeby zjeść więcej — pospieszył wyjaśnić — zupełnie nie jestem głodny, matko. Ten placek jest naprawdę...

Rozpogodziła się. Miała bardzo ujmujący uśmiech i o wiele zdrowsze zęby niż mąż, choć napewno nie żuła betelu. Była wyraźnie zadowolona.

— U matki Pardesi jest za to zupa, jakiej nigdzie nie dostaniesz. Chciałam podpatrzeć jak robi, ale nie dała.

— O, to, to, prawdę mówisz — mruknął Białogęby, wycierając dłonią usta.

Arvind podziękował. Shima zabrała naczynie.

— Pościelę wam tu, na macie. My z mężem śpimy u okna. Tylko prześcieradła czystego... Dam wam z tych już upranych, prześpicie noc, klient i tak nie pozna.

Białogęby zdmuchnął lampę. Szelest bosych stóp, kilka westchnień. Któreś z dzieci zawołało niezrozumiale przez sen. Cisza. Na podwórzu dogasały węgielki w piecyku. Gdzieś u góry, pod pułapem, krzesał deskę świerszcz. Już zasypiając, Arvind usłyszał, jak Białogęby mówi szeptem do żony:

— Wiesz co na naszej szkole napisane? Gopal jest świnia.

II.

Szeosz... Uollop! Szeosz... Błysk wzniesionych ramion, skręt tułowia w tył, aż mięśnie na piersiach stają się prężne jak struny, nogi tkwią twardo do pół łydek w wodzie, nagły rzut rąk do przodu, zwój płótna świszczące tnie powietrze, grzbiet zgina się w kabłąk... Uollop!... Płótno chlaszcze o beton, mydliny pryskają wokół, lepią się do oczu, ust, piersi. Szeosz... Błysk wzniesionych ramion...

Stosy bielizny zasypały kilkuset hektarowy plac. Koszule, prześcieradła, spodnie, chustki, damskie bluzeczki, poszewki, kalesony, firanki, wstęgi sari, skarpetki, obrusy, ręczniki... Wszystko to w tysiącach kolorów. Tu zieleń, tam biel, obok czerwień, ówdzie taka modrość w kłębach piany, jakbyś kawał nieba cisnął w morze. Dalej, niesposób rozróżnić barw, tak się zmieszały: jest sino, i szaro, i niebieskawo, i żółto, i złociście, i brązowo... Wszystko to kłębi się w nieładzie, albo miga w powietrzu, albo wisi na sznurach, czy też upakowane w stosy czeka przed buttee, albo leży schnąc na rozpalonych słońcem chodnikach... Skupieni pi dwóch, po trzech, w każdym betonowym stanowisku, wirują, jak szaleni — pracze. Ich śniade, nagie ciała są przyczyną ruchu w tej orgii kolorów i dźwięków. Ciężka od mydlin, czarno-szara woda spływa ze stanowisk w kanaliki, szumiąc napełnia zbiorniki, wylewa się zeń, buszując, i przekopem wali huczać w morze... Połowa brudów Bombaju. Pot z koszul urzędników, krawców, nauczycieli, kupców i sklepikarzy, policjantów i lekarzy, szoferów, woźnych, adwokatów i lokai, prostytutek i panien z dobrego domu, pot złodziei, bandziorów, alfonsów, handlarzy opium, pot studentów, wydrwigroszy, łazików, urlopowanych marynarzy, starych rencistów, pot ich żon, córek, dzieci... Płynie, płynie, po Mahalakshmi ghat, zmieszany z szarym mydłem, wyciśnięty trudem kilku tysięcy rąk, płynie — do morza.

Szeosz... Uollop! Arvind już nie czuł ramion, piersi, nóg. Jeszcze do niedawna wyrywano mu ręce z barków, jeszcze do niedawna zdawało mu się, że twarde łańcuchy zamiast mięśni opinają pierś, jeszcze do niedawna czuł, że nogi skamieniały w jakimś spazmatycznym skurczu. Teraz... już nie było Arvinda, młodego komunisty, studenta prawa, została bryła zwariowanych mięśni, wprawionych w ruch bez początku, bez końca. Szeosz... Uollop! Skądś, z różowej mgły, skacze co chwila przed oczy cyfra 2059. Numer stanowiska. Jakiś zwój w otępiałym mózgu, notuje, omdlewając: tysiąc sto trzydzieści pięć... tysiąc sto trzydzieści sześć... tysiąc sto trzydzieści siedem... tysiąc sto trzy... dzieś... Coś chlupnęło. Usta pełne gęstej mazi bez smaku, bez zapachu. Jakaś szarość zamyka się nad głową. Jeszcze rzut ramion w tył. Nogi tłuką o beton. Sztywnieją.

— Sąsiad, piorunem do mnie! Pomocnik mi zemdlał! Chodźcie wyciągnąć.

Siwawy Hindus, z przepaską na biodrach, podskoczył do Białogęby. Chwycili Arvinda za ręce, za nogi. Złożyli obok na wilgotnym piasku.

— Opił się brudów... Wsadź mu, sąsiad, palec w gardło. Wyrzyga. Białogęby przyklęknął szybko.

— Dobra. Pomóżcie rozewrzeć szczęki.

Pod naciskiem palców mięśnie twarzy zelżały. Usta rozchyliły się same. Białogęby wsadził w nie dłoń. Arvind czknął, coś chlusnęło.

— Podnieście go, już. Klaść brzuchem na kolanie. Cisnąć. Mocniej. Dobra.

Arvind wymiotował w piasek.

— Nieprzyzwyczajony. Pierwszy raz...

— Skąd żeście takiego wyrwali. Toć to słabeusz, chuchro.

— Ciszej. Nie trzeba, żeby słyszał.

— Akurat tam usłyszy. Nieprzytomny.

— Zaprawi się. Cóż wy chcecie, żeby tak od razu. Zobaczycie, będzie z niego jeszcze pożytek.

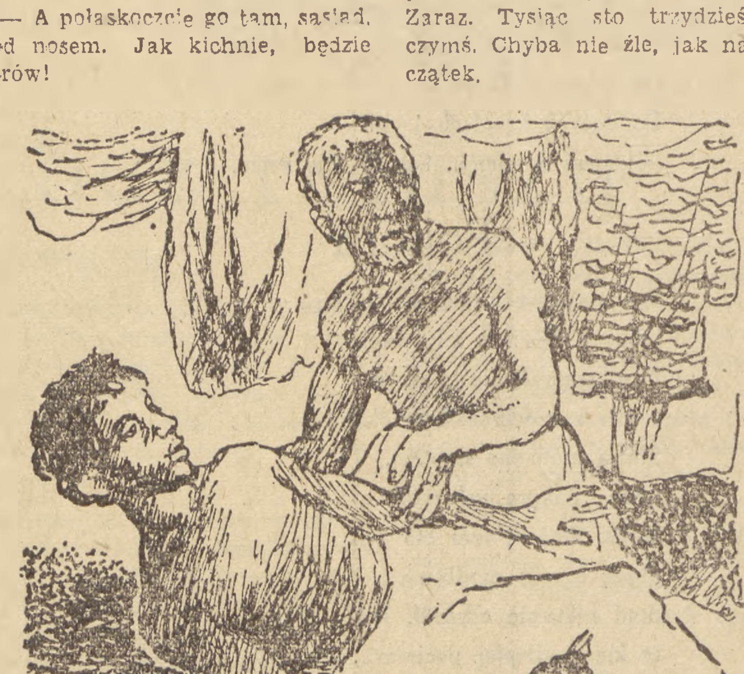
— Widzi mi się, że jak z dziury w płocie...

— Ech, idźcie, sąsiad, lepiej do roboty, bo wam bielizna w morze popłynie.

— Co mówicie! No, no, bez żartów, bez żartów...

Poszedł kołysząc się, w stronę swojego stanowiska. Stanął w rozkroku. Wziął w ręce długie prześcieradło, zwinął. Odwrócił się jeszcze, pokazując spróchniałe zęby.

— A połaskoczcie go tam, sąsiad, pod nosem. Jak kichnie, będzie zdrów!



Białogęby rozpostarł swoją koszulę i położył na niej Arvinda. Ten pomału przychodził do siebie. Westchnął raz, drugi. Zgarnął niepewną ręką włosy z twarzy. Powieki mu zadrgały. Pierś unosiła się szybko, ale już spokojnie, rytmicznie. Spróbował coś powiedzieć.

— Leż cicho. Nic nie mów. Zamknij oczy i próbuj zasnąć. Choć trochę. Ja wracam do roboty. Poleż z godzinkę, potem będziesz do rzeczy.

Kiedy o porze obiadowej, Białogęby wykręciwszy ostatnią koszulę, starł pot z twarzy i opuścił stanowisko, Arvind jeszcze spał. Muchy przylepiły mu się do policzków. Oddychał lekko, przez nos. Białogęby uśmiechnął się, poczuł coś, jakby pierwszy, ciepły powiew przyjaźni. Jakże ten dzieciak ma na imię? Aha...

— Arvind, Arvind, chłopcze. Wstawaj. — Tarmosił go lekko za ramię. — Już druga, wstawaj.

Arvind kichnął, aż muchy, spłoszone, wionęły w górę. Usiadł, przecierając oczy.

— No widzicie, kicha, będzie zdrów — zawołał przyjaźnie stary Hindus. Szedł z dzbanuszkiem do latryny. Zatoczył krąg ręką. — Młody człowieku, pięknie słoneczko wygląda, co?

Arvind wyszczerzył zęby.

— Macie rację, staruszku! Wspaniale.

Zaśmieli się wszyscy trzej.

— No, a teraz na obiad — zawołał Białogęby. — Jazda!

— Mnie też zapraszacie — parsknął, odchodząc, tamten. — Wybaczcie, muszę najpierw się...

Pracze schodzili gromadnie ze stanowisk. Kołysali się w biodrach, krocząc bez pośpiechu, spokojnie, lekko.

Arvind mruknął:

— Wybaczcie mi.

— Ale o czym tu gadać. Chodźmy. Matka Shima dobry obiad dla nas przygotowała. Jest i placek dla ciebie, Arvind, upiekła samym rankiem.

— No, to podjemy, Białogęby, nie?

— Żebyś wiedział, że podjemy, i to zdrowo.

Arvind wytężał całą siłę woli, byleby tylko iść zgrabnie i lekko, jak ci wszyscy wokół. Cholera, przecież kości ma całkiem wyłamane, każda chodzi osobno, ani rusz nie chcą trzymać się kupy... Ale to było życie, prawdziwe życie! A on siedział jak głupi na uniwerku, tyle lat froterował tyłkiem ławki, od dziecka. Psu na buty się zdała znajomość prawa rzymskiego, babilońskiego, ptolomejskiego, dobra orientacja w kodeksie karnym, i całkiem znośne pojęcie o zagadnieniach kryminalistyki. Wyrzygał to wszystko w piasek. Jeszcze nigdy nie było mu tak dobrze, w sensie psychicznym. Bo te kości, niech je wszyscy diabli... Ale i tak przecież machnął... ile to razy? Zaraz. Tysiąc sto trzydzieści z czymś. Chyba nie źle, jak na początek.

— Siadaj. Tu masz zupę, placek i mango. Uczta książęca. Sam Gopal lepiej nie jada.

Arvind podwinął nogi. Poszukał plecami oparcia. Siedzieli w długiej, pełnej ludzi, szopie. Zapychając usta plackiem, wymamrotał:

— Gopal w tej chwili napewno obżera się melbą.

— Co to takiego? — spytał Białogęby.

(Ciąg dalszy na str. 12)

Michał JAWOR

Dwa nurty wielkiej rzeki

Powierzchowny obserwator mógłby sądzić, że to, co stało się wiosną roku 1945 i wszystko co działo się potem, aż po wczorajszy dzień, w ósmym, już przeładowanym wydarzeniami roku niemieckich przemian — że to wszystko nie jest niczym więcej, jak tylko powtórzeniem roku 1918: po raz drugi imperializm pruskich Niemiec wyruszył na podbój świata i po raz drugi wyprawa zakończyła się klęską ze wszystkimi jej skutkami.

Nie potrzeba jednak dowodzić, jak bardzo powierzchowne byłoby takie twierdzenie. W roku 1918 niemiecka prawica — militaryzm pruski, imperializm niemieckiej burżuazji, prusko-niemiecki nacjonalizm o rasistowskim podłożu — przegrały wojnę tylko na zewnątrz. Nieprzyjaciel nie wkroczył do Niemiec, jeśli nie liczyć przejściowych okupacji na zachodzie; terytorialnie Rzesza pozostała nietknięta zarówno pod względem zasięgu, jak i jedności terytorium. Straty terytorialne na wschodzie i zachodzie były bowiem tylko zwrotem najoczywistszych, najbardziej krzyczących grabieży.

Natomiast wewnątrz tych granic prawica rozwiązała grę zwycięsko. Armia i jej mózg — sztab — pozostały jako nietknięte narzędzia we władzy ludzi, opierających się o swoje również nienaruszone pozycje ekonomiczne: wielkie majątki i wielką własność przemysłową. Klęska i rewolucja 1918 roku oznaczały niemiłe załamanie linii rozwoju, przerwę i zwłokę, lecz nie przecięcie dalszego biegu rzeczy w pożądanym przez te ośrodki kierunku. Nazajutrz po klęsce można było przystąpić do odbudowy wszystkiego, co się zawaliło — i nie było nikogo, kto by się temu w Niemczech skutecznie przeciwstawił.

Społeczeństwo, którego mózgi od dziesiątków lat obrabiała straszliwa wręcz w swym natężeniu ilościowym i jakościowym propaganda nacjonalistyczno-imperialistyczna, pozwoliło sobie wmówić zarówno legendę o napaści złych wrogów na miłującą pokój Rzeszę w roku 1914, jak i legendę o „ciosie zadanym w plecy” niezłomnym, „niepokonanym w polu” prusko-niemieckim siłom zbrojnym przez godnych potępienia i pogardy rewolucjonistów w roku 1918. Od dziesiątków lat liczne organizacje propagandowe junkierstwa i burżuazji — Liga Floty, Liga Kolonialna, potem Liga Obrony Kraju, a nade wszystko osławiony Związek Wszechniemiecki — oraz tysiące piór publicystów, literatów, pseudo-historyków i pseudo-prawników, a także historyków i prawników, pracowały nad tym, by uodpornić mózg przeciętnego Niemca na każdą słuszność, która nie jest **słusznością niemiecką**, na każde prawo, które nie jest **prawem Niemiec do czegoś** — choćby i do największego bezprawia. „Idee te — pisze uczony radziecki, prof. J. Gałkin o ideologii pangermanizmu — głosiła znaczna część prasy reakcyjnej, zatruwając świadomość Niemców skrajnym szowinizmem”.

Bez porównania liczniejsza niż u nas, zarówno w liczbie bezwzględnej, jak i w stosunku do całego narodu — o tym należy zawsze pamiętać! — warstwa mieszczaństwa niemieckiego przesiąkła tą propagandą bez reszty. Klasa robotnicza stawiała jej zrazu poważny opór jeszcze za życia Engelsa, w dobie prześladowań ruchu socjalistycznego, kiedy robotnik wyrzucony został praktycznie za nawias praw narodowych i obywatelskich. Bardziej zręczna i perfidna taktyka klas rządzących w czasach po-bismarkowskich zdołała w znacznej mierze przełamać ten opór. Wzrost „arystokracji robotniczej”, wewnętrzny, nieujawniony zrazu rozłam w łonie ruchu robotniczego, wywołany przez rewizjonizm teorii marksistowskiej i wzrost reformizmu — wszystko to przygotowało drogę do pierwszych dni sierpnia 1914 roku, kiedy najliczniejsza podówczas frakcja Reichstagu, 110-osobowa frakcja socjaldemokratyczna, skapitulowała przed żądnymi wojny klasami rządzącymi, uchwalając kredyty wojenne i „pokój wewnętrzny”.

Nie pozostało to bez wpływu na przebieg nieudanej rewolucji 1918 roku — i pozwoliło tym mocniejsze korzenie zapuścić w społeczeństwie niemieckim powojennej propagandzie nacjonalistycznej, która dalej przygotowywała grunt dla Hitlera.

Skutki klęski roku 1918 przebiegają po powierzchni narodowego życia niemieckiego, odbijając się od nienaruszonego nacjonalizmu, jak od niepożytej skały. Na powierzchni tej skały wypala się też płomień rewolucji — aż zgaśnie. A już w 1925 roku prezydentem Rzeszy Niemieckiej zostaje feldmarszałek Paul v. Benneckendorf und Hindenburg, który niewiele wcześniej kończył listy do byłego cesarza Wilhelma II, przebywającego w Doorn, słowami: W najgłębszej czci, w bezgranicznej wierności i wdzięczności, Waszej Cesarskiej i Królewskiej Mości najpokorniejszy poddany...”. Przed przyjęciem godności prezydenta zwrócił się on zresztą o pozwolenie na to do b. cesarza, jako do swojego najwyższego zwierzchnika wojskowego...

Ten wierny oficer pruskiego króla i niemieckiego cesarza swoją osobą i swoją działalnością połączył też — ponad bezsilną republiką niemiecką, noszącą wciąż jeszcze nawet nazwę Rzeszy — „Drugą Rzeszę” Hohenzollernów, którym pozostał wierny, z „Trzecią Rzeszą“ Hitlera, któremu oddał później władzę do rąk.

Nie — klęska roku 1918 niczego nie załamała, niczego nie zerwała, nie wydarła żadnych korzeni. W roku 1918 nacjonalistyczny i militarystyczny imperializm prusko-niemiecki przegrał tylko jedną wojnę — i jął się sposobić do drugiej.

W roku 1945 przegrał już **siebie.** W dniu zwycięstwa sprzymierzonych nie ostało się w Niemczech nic z tego gmachu, który wzniósł Bismarck, ozdabiając go u szczytu koroną cesarską. Państwo i armia były zupełnie rozbite, terytorium zajęte bez reszty przez zwycięzców. Z dzieła Bismarcka pozostał tylko podział na „Niemcy” i „Austrię”, czy nawet już na Niemców i Austriaków. Choć i ten nie ostał się całkowicie, skoro Niemcy z dawnych austriackich Sudetów zaliczają się do Niemców właśnie.

A poza tym wschodnia część skały imperializmu niemieckiego została skruszona. Wielkie reformy społeczno-ekonomiczne w dawnej radzieckiej strefie okupacyjnej, w dzisiejszej Niemieckiej Republice Demokratycznej, wydarły z ziemi tej części Niemiec korzenie dotychczasowego nacjonalizmu i militaryzmu. Nie **formy**, lecz społeczne i gospodarcze **podstawy** ustroju zostały tym razem zmienione aż do głębi.

Zachodnia część skały ostała się. Lecz po pierwsze można już było i tę część skruszyć, gdyby tego zechcieli zachodni zwycięzcy; po drugie, podmywa ją rosnący bunt narodu niemieckiego przeciw imperializmowi i wojnie.

Rok 1918 oznacza w dziejach Niemiec tylko koniec monarchii. Koniec **okresu dziejowego**, zapoczątkowanego przez bismarkowskie Prusy, przyniósł dopiero rok 1945.

Dlatego też dopiero dzisiaj — mówimy o tym „dzisiaj”, które zaczęło się przed siedmiu z górą laty — Niemcy stanęły znów na rozdrożu. **Jak przed stu laty.**

Albowiem — choć historia się nie powtarza — powtarzają się podobne sytuacje. Już przed stu laty naród niemiecki stał wobec problemu swojego zjednoczenia — i leżały przed nim wtedy dwie drogi.

Podobnie, jak dziś. Ale nie **tak,** jak dziś.

Powierzchowny obserwator, stojąc nad brzegiem niemieckiej rzeki i patrząc w górę jej biegu, widzi tylko nurt „krwi i żelaza”, nurt bismarkowski. Nie widzi, że tę **barwę** przybrała niemiecka rzeka **w całości** tylko na trzy ćwierci stulecia — od pierwszych zwycięstw Bismarcka do ostatniej klęski Hitlera. Przedtem zaś ów ponury nurt pruski był tylko jednym z wielu, a najogólniej już — jednym z dwóch nurtów dziejowych niemieckiej historii. **I dzisiejsze Niemcy mogą czerpać ze swych dziejów coś więcej, niż tylko krew i żelazo** — niż ową myśl o „własnym żelazie i cudzej krwi”, jak to określił jeden z najsprawiedliwszych i najuczciwszych Niemców, jacy żyli kiedykolwiek, profesor Fryderyk Wilhelm Forster.

Drugi nurt niemiecki — nurt wolności i człowieczeństwa — wezbrał był przed stu laty, z wiosennym przyborem 1848 roku. W całych Niemczech zatrzęsły się trony większych i mniejszych, ale jednako reakcyjnych, ciasnych i krzywdą uciskanego ludu żyjących władców. A jednak wiosna przeminęła — nurt powrócił w swoje ciasne koryto, nie podmył granic dzielących Niemcy, nie zjednoczył narodu.

Przyczyniły się do tego w niemałej mierze pruskie bagnety — ale nie w tym rzecz była, że po stronie reakcji znalazły się bagnety, lecz że nie stało ich po stronie wolności i postępu. Albowiem burżuazyjni demokraci zlękli się ludu, rewolucji i powiewu z Paryża. Ten lęk nie był dobrym sprzymierzeńcem wobec karnych pruskich pułków. Wynik walki był też z góry przesądzony.

Oznaczało to, że demokracja niemiecka przegrała sprawę zjednoczenia Niemiec — sprawę dojrzałą i palącą. A miała wszak przewagę — podjęła ją pierwsza, zanim obóz ucisku społecznego i narodowego począł jednoczyć Niemcy po swojemu.

Rewolucja 1848 roku w Berlinie uwolniła z więzienia Mierosławskiego i Libelta — jednym z pierwszych czynów Bismarcka na stanowisku premiera Prus było zawarcie tzw. „konwencji Alvenslebena”, przewidującej życzliwą neutralność i cichą pomoc w dławieniu przez carat powstania styczniowego. Żelazem carskim i polską krwią politykował Bismarck, nim jeszcze zastosował swoją receptę wewnątrz Niemiec.

A potem przyszły bismarkowskie sukcesy, które zdawały się na zawsze wytyczać bieg niemieckich dziejów. Trzy krótkie wojny, zwycięskie od początku do końca dla pruskiego oręża, — ugruntowały w dużej części społeczeństwa niemieckiego kult wojny, przemocy i własnej niemieckiej wielkości, wzgardę dla prawa, demokracji i pokojowego współżycia narodów.

Ale drugi nurt nie wysychał. Owszem — burżuazyjna demokracja niemiecka znika niemal z pola widzenia. W Reichstagu na lewo od konserwatystów różnych odcieni zasiadają najpierw „narodowi liberałowie”, czyli partia najskrajniejszego burżuazyjnego szowinizmu, a dalej już tylko nieliczna i topniejąca w ciągłych rozłamach garstka „postępowych liberałów”. Wszelako na skrajnym lewym skrzydle powstaje, utwierdza się i rozrasta frakcja socjaldemokracji — partii niemieckiej klasy robotniczej. I ona podejmuje upuszczony sztandar roku 1848.

Wskazywaliśmy już, dlaczego sztandar ten upadł. I mówiliśmy, czemu tak łatwo pochylił się ponownie w roku 1918. Nurt socjaldemokratyczny spłycił się, jak to się dzieje ze wszystkimi nurtami rozlanymi szeroko bez odpowiedniego pogłębienia łożyska. Wszelako w ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku ruch socjalistyczny nigdzie nie jest tak potężny, zorganizowany i liczny, jak w ojczyźnie Marksa i Engelsa.

Każdy naród ma w swojej tradycji dwa elementy przeszłości: tradycję mas ludowych, i tradycję klas rządzących, wyzyskujących, uciskających. Ale u każdego narodu elementy te są mniej lub bardziej przemieszane: wiele jest wspólnego, wiele jest pierwiastków, które nowy, ludowy patriotyzm oczyszcza i składa we własnej skarbnicy.

Nigdzie tak wyraźnie jak w Niemczech nie biegnie granica między obu elementami narodowej tradycji, między obu historiami Niemiec, między obu tworzącymi ją obozami.

Niemcy przełomu XIX i XX wieku są krajem najbardziej rozwiniętego ruchu robotniczego — i najdalej posuniętej reakcji.

Oparty na potężnych wojskowych podstawach prusko-junkierskich ustrój pruskiej Rzeszy z jej absolutną w praktyce, militarną monarchią, jest oparciem i ostoją nawet dla takiego symbolu wszelkiej reakcji, jakim od czasów Mikołaja I stał się carat. Z Prus czerpią natchnienie pomniejsi monarchowie niemieccy, gdy uszczuplają prawa ludu. Z Niemiec czerpałyby chętnie natchnienie sfery rządowe innych krajów Europy, marzące o konstytucji Rzeszy, czy nawet konstytucji Prus, która taką przewagę zapewnia klasom posiadającym...

Wypływający z wyjątkowo szybkiej, żywiołowej industrializacji Niemiec ruch robotniczy, na którego czele stoją Marks i Engels, a potem sam Engels, staje się głównym elementem międzynarodowego proletariatu. Z Niemiec czerpią natchnienie robotnicy całej Europy i Engels u schyłku życia przepowiada, że Niemcy „staną się widownią pierwszego wielkiego zwycięstwa proletariatu europejskiego”.

Rzesza bismarkowska ma najlepiej rozbudowane ustawodawstwo socjalne — najlepiej rozbudowaną partię robotniczą — najlepiej rozbudowane ustawodawstwo **przeciw** robotnikom.

Czerwony ogień rewolucji niemieckiej wygasł na szarej pruskiej skale — lecz trzeba go było ostatecznie gasić krwią. Thälmann znajduje w Niemczech miliony głosów, gdy kandyduje na prezydenta. Lewica niemiecka nie umie jeszcze zwyciężyć, ale jest liczna i groźna.

Rewolucja 1918 roku nie miała z czego czerpać korzeniami soki. Korzenie były za płytkie i za krótkie — nie udało się im rozsadzić skały.

Rewolucja 1945 roku ma z czego czerpać korzeniami soki. Demokracja niemiecka nie narodziła się dziś, ani wczoraj.

Na zachodzie próbuje się ożywić bogatą tradycję nacjonalizmu, militaryzmu imperializmu. W zachodnich Niemczech, na podmywanej skale, ludzie dziejowego niemieckiego wczoraj chcą nawrócić do punktu, z którego Rzesza Niemiecka wyruszała kiedyś pod panowaniem Hitlera. Kandydatów na Hitlera nie brak, wzory są dla nich aż nadto gotowe.

We wschodnich Niemczech, na miejscu skruszonej pruskiej skały, wyrosła władza niemiecka klasy robotniczej i jej partii. Tu nawraca się do punktu, z którego Niemcy szły kiedyś — zrazu daremnie — do zjednoczenia Niemiec przez lud i dla ludu. Wzorem jest demokracja ludowa i demokracja radziecka — glebą — tamte tradycje nieudanych i niedokończonych, lecz dziejowo płodnych rewolucji.

„Trzeciego w tym państwie nic niemasz”.

W roku 1848 przegrała w Niemczech demokratyczna rewolucja burżuazyjna, ale nie walczyła daremnie. Bismarck sam potem przyznał, że musiał przejąć od konstytucji Rzeszy „najsilniejszą z ówczesnych wolnościowych sztuczek“ — powszechne prawo wyborcze.

Po roku 1918 przegrała w Niemczech rewolucja robotnicza, ale nie walczyła daremnie. Hitler będzie musiał nazwać swą partię „robotniczą“ i „socjalistyczną“, będzie musiał ukraść klasie robotniczej czerwony sztandar i dzień 1 Maja. Idąc do władzy na zlecenie i za pieniądze wielkiego przemysłu będzie musiał — podobnie jak idący do władzy w imię absolutnej monarchii i junkierstwa Bismarck — schlebiać tym masom „wolnościowymi sztuczkami“.

Albowiem tradycja trwała. Zasypywano ją tysiącami, milionami, tysiącami milionów zadrukowanych stronic. Byli autorzy, którzy na żołdzie imperializmu niemieckiego różnych odcieni wydali po sto i więcej książek i broszur, napisali setki artykułów, wszystko w wielotysięcznych i **opłacalnych** nakładach. Wyzyskiwano przeciw wolnościowej i demokratycznej tradycji niemieckiej wszystkie możliwe prawdy i fałsze, jakie dawało się wydobyć z fałszowanej i do ostatecznych granic historii. Wynik był nie błahy. Ale tradycja przetrwała nurt Niemiec innych, niż Niem

(Dokończenie na str. 10)

Mieczysław Stryjewski

Przez las...

Przez las biała, słoneczna ścieżka
między drzewami, zapachem i cieniem
prowadzi Ciebie na jasną polanę —
w kraj zieleni, w bezkresy patrzenia.
Nie zgub uśmiechu, który na ustach
drży, jak jagoda zerwana, nie pomyl
stacyjki wśród sosen
z twoim rodzinnym domem.
Może odszukasz, po niepewnych śladach
pieśni, Twój dom ukryty za drzewem,
jak w starej baśni.
Po dużych kroplach jagód
pójdziesz do domu. Gdzie? Nie wiem.

Pokora

Wyznanie na ustach najcichsze,
jedno z niewielu, gdyż boli.
Powierzam Tobie te słowa
zanieś z kościoła w mrok ulic.
Słowa mówione szeptem,
trzeba pokorą uskrzydlić.
Wstań bracie, tam oto
płoną ogniki modlitwy.
Stąd nikt nie odszedł, kto wierzy,
że ktoś najlepiej pocieszy..,
i znalazł pokorę i radość..
odejdź, by więcej nie grzeszyć.

Z miasteczka

Tu — od pól pachnie oberkiem i zbożem.
Zapach wsi przywiozły proste, chłopskie wozy
ustawione w dwuszereg, na rynku, na placu
w słońcu okrągłe głowy kapusty się złocą,
jarzyn różnych dużo, powiązanych w wiązki.
Motyle nad tym wszystkim, niby barwne wstążki.



Michał NOWACKI

ŚWIATOWY POLIP

W okresach zaciętej walki z propagandą obozu imperialistycznego i napięcia międzynarodowego potrzebna jest nam ostra literatura propagandowa. Jest to skuteczna broń dla piętnowania przeciwników demokracji i pokoju, dla mobilizowana szerokich kół społeczeństwa do walki z nimi, dla wyjaśnienia w dobitny sposób zarówno niebezpiecznych zakusów wrogów, jak i ich słabych punktów. Publicystyka propagandowa dobrze spełnia te zadania, gdy operuje prawdą, gdy bije celnie, gdy przemawia przystępnie i zrozumiale, słowem gdy trafia do rozumu i wyobraźni najszerszych rzesz czytelników

Przykładem takiego skutecznego wydawnictwa propagandowego jest opracowana przez Niemiecki Instytut Badań dziejów współczesnych książka G. Baumanna „Pakt atlantycki koncernów“, nosząca podtytuł: „Międzynarodowe powiązania kapitału w Niemczech zachodnich“ *),

Godzi ona w jeden z czułych punktów obecnej sytuacji gospodarczo-politycznej Niemiec zachodnich, a mianowicie w faktyczne uzależnienie ekonomiczne tego kraju od kapitału międzynarodowego. Poza tym książka spełnia jeszcze jedno zadanie. Pokazuje nam monopole światowe w postaci wielkiego polipa, który macki swe zapuścił do wszystkich krajów mających jeszcze strukturę kapitalistyczną, czy też pozostających pod uciskiem kolonialnym. Za pomocą skomplikowanych i krzyżujących się powiązań finansowych kierują one polityką tych państw, ale nie w imię interesów narodów Europy czy Azji, ale jedynie pod kątem własnych potrzeb, tj. zwiększania i tak ogromnych zysków garstki plutokratów nie uznających innej ojczyzny jak kosmopolityczny pieniądz.

Dla tych kilkuset rodzin, kumulujących bogactwo i władzę w krajach kapitalistycznych oraz dla wysługujących się im polityków wszelkie imponderabilia są niepotrzebnym atrybutem, a granice, narody, ludzi traktują oni bezceremonialnie, nie krępując się nimi w swych planach i posunięciach. Istniejące między monopolistami światowymi powiązania tworzą, jak wykazuje autor, „Międzynarodową Radę Bogów“, trzymającą w swych rękach nici polityki imperialistycznej. Uświadomienie sobie tego stanu rzeczy ułatwia nam zrozumienie sytuacji i polityki międzynarodowej.

ALBUMOWA książka Baumanna jest bardzo pouczającym kompendium dla zorientowania się w tych zagadnieniach. Po krótkim treściwym wstępie, charakteryzującym historyczne dzieje imperializmu niemieckiego i kształtowanie się infiltracji kapitału obcego do gospodarstwa Rzeszy a obecnie Niemiec zachodnich, w książce pomieszczone zostały z komentarzami, liczne tablice i wykresy, schematy graficzne i fotografie ilustrujące rozległe pozycje zdobyte już przez monopolistów światowych w wytwórczości Niemiec zachodnich oraz ścisłe powiązania czołowych finansistów zachodnio-niemieckich, wywierających decydujący wpływ na politykę rządu bońskiego, z koncernami zagranicznymi, zwłaszcza amerykańskimi. Jednocześnie znajdujemy w książce liczne biografie działaczy zachodnich, z których wynika, że polityka niemiecka bloku atlantyckiego realizowana jest przez ludzi związanych z koncernami pozostającymi od wielu lat w ścisłych stosunkach finansowych z terenem niemieckim.

Jako drogi przenikania kapitału obcego do Niemiec zachodnich autor wymienia: tworzenie sieci przedsiębiorstw całkowicie uzależnionych od koncernów macierzystych, uruchamianie przedstawicielstw handlowych i biur technicznych, wykupywanie kontrolnych pakietów akcji poszczególnych przedsiębiorstw zachodnio-niemieckich, uzyskiwanie do swej dyspozycji akcji i udziałów uprzywilejowanych, zakładanie towarzystw holdingowych, udzielanie kredytów na warunkach zapewnienia sobie kontroli nad danymi przedsiębiorstwami, zawieranie wiążących na długą metę kontraktów sprzedaży i dostaw, uzależnianie przemysłu niemieckiego za pomocą odpowiednich umów o patentach, licencjach i pomocy technicznej.

Ścisłe określenie rozmiarów opanowania gospodarki zachodnio-niemieckiej przez obce kapitały jest rzeczą niezmiernie trudną, gdyż często dzieje się to drogą zamaskowaną lub pośrednio. Według gruntownych badań, przeprowadzonych przez Niemiecki Instytut Badań Dziejów Współczesnych na podstawie dostępnych materiałów, bezpośredni udział koncernów zagranicznych w przedsiębiorstwach zachodnio-niemieckich obejmował przy końcu 1951 r. 1014 wielkich towarzystw, reprezentujących 5170 milionów marek kapitału zakładowego. Do tego doliczyć należy towarzystwa akcyjne i spółki o 2,43 miliardach marek kapitału zakładowego, w których dzięki różnym powiązaniom finansowym wpływ koncernów zagranicznych jest decydujący. W ten sposób 42% całego kapitału wytwórczego Niemiec zachodnich kontrolowane jest przez obce koncerny.

Prawie 50% udziału w tym przypada na Stany Zjednoczone. Kapitał amerykański reprezentują w w pierwszym rzędzie słynne koncerny światowe, jak grupy Morgana, Du Pont de Nemours, Rockefellera, Forda, Mellona oraz dobrze znane w polityce banki jak Dillon, Read and Co, Harrimana i in. Kilkanaście procent posiada Wielka Brytania, przyczym na pierwszych miejscach występują Royal Dutch, Rothschild'owski Imperial Chemical Industries, Unilever i towarzystwa ubezpieczeniowe. Francji przypada jedynie 7,7% z grupą metalurgiczną Wendela, koncernem Michelin (w tym i Citroen) i chemicznym trustem Saint-Gobain na czele.

Na resztę składają się kapitały krajów sąsiadujących z Niemcami zachodnimi, przyczym udział Włoch (Fiat, Montecatini, towarzystwa ubezpieczeniowe) jest zupełnie nikły, natomast większy stosunkowo procent przypada na Szwajcarię (np. Browns-Boveri), Holandię (Philips i dawny koncern Thyssena) oraz Szwecję (przedewszystkim grupa Wallenberga obejmująca m. in. dawny koncern Kreugera i telefony Ericssona).

Dla pełności obrazu autor książki podaje również ekspansję wielkich trustów niemieckich na zagranicę, co stwarza dodatkowe więzy między monopolistami niemieckimi a międzynarodowymi kartelami.

Przedwojenna sieć zewnętrzna takich kolosów finansowych, jak I. G. Farben-Industrie, AEG czy też grupa Stinnesa była dostatecznie znana i głośna.

Po wojnie, w wyniku porozumień poczdamskich, mienie niemieckie w krajach zwycięskiej koalicji zostało zasekwestrowane na poczet reparacji. Pomimo tego, dzięki cichej pomocy i wspólnictwa koncernów zagranicznych, monopolistom niemieckim udało się uratować ogromną część swych avoirów poza granicami Rzeszy.

Obecnie, jak pisze autor, została już na nowo odbudowana sieć zewnętrzna wielkich przedsiębiorstw zachodnio-niemieckich. Ocalały setki firm niemieckich w krajach neutralnych, zwłaszcza w Szwecji, Szwajcarii, Argentynie, Hiszpanii i Portugalii, a według ogłoszonych przez rząd Adenauera urzędowych danych, w lipcu 1951 r. kapitał zagraniczny Niemiec zachodnich wynosił już 8 miliardów marek, z tego 425 milionów dolarów w Stanach Zjednoczonych, 380 milionów franków w Szwajcarii, 124 miliony florenów w Holandii i 15 milionów funt. szt. w Wielkiej Brytanii.

CIEKAWE jest przytoczone przez autora porównawcze zestawienie stanu posiadania obcego kapitału w Polsce przed 1939 r., obliczone przez wyżej wspomniany Instytut Niemiecki. Dotyczy ono przede wszystkim przedsiębiorstw prywatnych, przyczym dodać należy, że i w przedsiębiorstwach państwowych ówczesnej Polski wpływ kapitału obcego w formie bądź udziałów (Skarboferm, kolej węglowa Śląsk-Bałtyk itd.), bądź kredytów i pożyczek (przeszło 5 miliardów złotych) był bardzo duży.

Podany wykaz stwierdza, że na dzień 1 stycznia 1938 r. było w Polsce 1114 towarzystw akcyjnych o kapitale zakładowym 3362 milionów zł. W tej liczbie kapitał obcy brał udział w 438 towarzystwach akcyjnych z sumą 1462 milionów zł. Reprezentował więc on 42,9% całego kapitału polskich towarzystw akcyjnych. Koło 90% kapitału obcego zgrupowane było w 314 największych towarzystwach akcyjnych, które pozostawały pod całkowitą kontrolą karteli światowych. Kapitał obcy posiadał większość ponad 50% w przemyśle naftowym, elektrycznym, chemicznym, jak również w przemyśle ciężkim (węgiel i hutnictwo). Największy udział miały: Francja — 27%, Stany Zjednoczone — 19%, Niemcy — 14% i Belgia — 12%.

Z DUŻYM zaciekawieniem czyta się w książce krótkie biografie poszczególnych polityków zachodnich, zajmujących się bezpośrednio sprawami niemieckimi. Uwypuklony został ich udział w radach nadzorczych i dyrekcjach różnych koncernów związanych z Niemcami zachodnimi oraz ich aktywna kierownicza rola na konferencjach międzynarodowych zarówno przed drugą wojną światową jak i obecnie.

Wielu z nich zajmowało się bezpośrednio sprawami polskimi, utrzymując ścisłe związki z naszymi kołami reakcyjnymi. Tak np. głośny John Foster Dulles był głównym aktorem w sprawie udzielenia pożyczki amerykańskiej dla rządu Piłsudskiego po przewrocie majowym, a podczas drugiej wojny światowej wykorzystywał go rząd emigracyjny w Londynie jako przedstawiciela swych interesów finansowych w Stanach Zjednoczonych. Nie mniej znany Harriman należał do potentatów przemysłowych Górnego Śląska. Czołowy rzecznik kapitału amerykańskiego we Francji, Jean Monnet, będący dziś głównym wykonawcą „Planu Schumana“, czynny był swego czasu przy oddawaniu polskiego przemysłu zapałczanego w ręce koncernu Kreugera itd.

Osobny rozdział stanowią biografie głównych potentatów zachodnio-niemieckiego życia gospodarczego, wśród których najbardziej znane są nazwiska Absa, Pferdmengesa (najbogatszy po wojnie człowiek w Niemczech zachodnich), barona Kurt von Schroedera, Poensgena i in. Grają oni dziś w Niemczech zachodnich taką samą rolę jak kiedyś za czasów Wilhelma i Hitlera odgrywali Krupp, Kloeckner, Stinnes, Thyssen, Voegler czy Zangen. Wszyscy oni zajmowali poprzednio wpływowe stanowiska „Wirtschaftsführerów“ w gospodarce hitlerowskiej podczas drugiej wojny światowej.

W ich rękach znajduje się dziś faktyczne kierownictwo wielkiego przemysłu zachodnich Niemiec Występują oni jako doradcy i inspiratorzy polityki kanclerza Adenauera, z którym łączą ich rozliczne interesy. Pozostają jednocześnie w jak najściślejszych związkach z kapitałem międzynarodowym. W imię interesów koncernów światowych starają się narzucić Niemcom zachodnim udział w agresywnym bloku atlantyckim i utrzymują rozbicie Niemiec, będące główną gwarancją ich wszechwładzy i potęgi.

Po przeczytaniu tego interesującego wydawnictwa mamy jasny obraz sił i interesów, które grają w Niemczech zachodnich w kierunku tworzenia z nich bazy wypadowej imperialistów amerykańskich. Czytelnik może sam wyciągnąć z tego wnioski. Światowy polip koncernów jest siłą kierowniczą polityki wojennej, prowadzonej wbrew najżywotniejszym interesom wszystkich narodów i ludów, pragnących pokojowej pracy na drodze ku lepszej przyszłości.

Michał Nowacki

*) G. Baumann „Atlantik Pakt der Konzerne“ Die Internationale Kapitalverflechtung in Westdeutschland Berlin, Verlag die Wirtschaft GMBH 1952. str. 189.

Tadeusz MYŚLIK

Wysoka Łąka bez retuszu

(fragmenty reportażu)

Wiosną tego roku miałem okazję zetknąć się przez dłuższy czas i z bliska z problematyką sanatoryjną. Uwagi niniejsze są spostrzeżeniami z tego właśnie okresu i dotyczą Państwowego Sanatorium Przeciwgruźliczego w Wysokiej Łące.

W „SPRAWACH Polaków” Edmund Osmańczyk napisał bardzo tragiczne zdanie. Na podstawie wojennych i międzywojennych doświadczeń stwierdził on, że dwie są polskie narodowe śmierci — śmierć na „polu chwały” i śmierć na gruźlicę. — Prawda ta nie była wesołą prawdą.

Dzisiaj — wola całego narodu, jego wysiłek twórczy i tworzona przez niego społeczna rzeczywistość, przekreśla na zawsze koszmar tamtych prawd i tamtych czasów i tamtych faktów. Oczywiście jest to praca bardzo trudna i wymagająca długiego czasu. Reportaż niniejszy jest reportażem z jednego odcinka tej walki o lepsze, szczęśliwsze jutro, z odcinka walki bardzo trudnej, walki o zdrowie człowieka.

Gruźlica jest chorobą zakaźną. Jako wróg jest groźna i podstępna, niszczy organizm skrycie, bezboleśnie a często nawet nie wywołując szczególnych objawów. Kiedy one występują, jest już niejednokrotnie bardzo późno na skuteczne leczenie.

Nie jestem lekarzem i trudno mi jest mówić tutaj, chociażby pobieżnie o jej formach, przebiegu i sposobach leczenia. Reportaż ten nie jest reportażem o terapii i o środkach leczniczych. Chodzi wyłącznie o rejestrację obserwacji, tym ważniejszych, że poczynionych przez kuracjusza.

Spróbujemy na wstępie przeanalizować chociażby schematycznie psychikę chorych. Są to ludzie młodzi i starzy, są tacy, którzy zetknęli się z sanatorium i w ogóle z lecznictwem po raz pierwszy i tacy, którzy do sanatorium przyjechali już po raz drugi czy trzeci z rzędu. W rozmaity też sposób reagują na fakt swojej choroby. Widzi się w wielu wypadkach kompletną ruinę psychiki ludzkiej. Przygnieciony świadomością choroby, człowiek zupełnie się załamuje, popada w cynizm, w swoistą odmianę egzystencjalizmu, w całkowitą apatię a co za tym idzie, w niewiarę we własne wyleczenie. Niesłychanie wymownie ilustrują stany psychiczne człowieka chorego na gruźlicę wiersze Liberta z cyklu „Kołysanka Jodłowa”.

Niestety, o ile terapia w zakresie czystej medycyny spełnia swoje zadanie właściwie bez zarzutu, o tyle psychologiczna strona zagadnienia przedstawia czasem wiele do życzenia — co świadczyć może chyba tylko o tym, że personel lekarski i pomocniczy nie zawsze zdaje sobie dostatecznie sprawę z faktu, że funkcją choroby fizycznej jest nie mniej niebezpieczna choroba psychiki ludzkiej.

W miarę jak stan zdrowia pacjenta polepsza się, regeneruje się również jego psychika. Wraca do życia. Dzieje się to również wtedy, jeżeli po chwilowym wstrząsie psychicznym spowodowanym świadomością choroby i jej następstw — zwycięża w człowieku wiara i nadzieja lub poczucie obowiązku społecznego, jaki ma jeszcze do spełnienia i mobilizuje całą siłę woli ażeby zatrzymać się na krawędzi katastrofy własnej psychiki. Jak popiół na pogorzelisku osobowości pozostaje podświadome poczucie niższości, psychoza — że się jest trędowatym i walka z własnymi myślami, a myśli człowieka chorego na gruźlicę bardzo często bywają niewesołe. O sprawach tych nikt do tej pory nie napisał reportażu, chociaż nie są one wcale błahymi sprawami a tylko dla wielu ludzi są i pozostaną zupełnie obce.

*

PIERWSZYM etapem dla przyjeżdżającego do sanatorium jest tzw. przejściówka. Mieści się ona w starym, ładnym i szybko rozbudowującym się oraz pięknie położonym wśród gór miasteczku Kowary. Chory przybywający ze skierowaniem właściwej poradni przeciwgruźliczej zostaje zarejestrowany i poddany badaniom wstępnym a następnie po kilku dniach pobytu, w miarę wolnych miejsc i w zależności od stanu choroby, skierowany zostaje do jed-

(Dokończenie na str. 10)

Wysoka Łąka bez retuszu

(Dokończenie ze str. 9)

nego z właściwych sanatoriów: Państwowego Zespołu Sanatoriów Przeciwgruźliczych w Kowarach, do Szklarskiej Poręby, do Sosnówki, do Karpacza, do Bukowca lub na Wysoką Łąkę. „Przejściówka" mieści się w niewielkim ale ładnym parku, który w promieniach wiosennego słońca (jest połowa marca) powoli ożywa. Chorzy, szczególnie ci, którzy są pierwszy raz w tego rodzaju zakładzie leczniczym — chodzą po parku trochę przestraszeni, niepewni tego, co się z nimi stanie.

Na któryś tam dzień z rzędu siostra dyżurna wyczytuje po obiedzie lub po śniadaniu nazwiska tych, którzy mają przygotować się do wyjazdu.

*

CZEKAJĄCA przed bramą sanitarka rusza. Mija ciasną miejską uliczkę, most na którym drzemie kamienny św. Jan Nepomucen, chwilę mknie piękną, wysadzaną drzewami drogą, a następnie minąwszy bramę sanatoryjną wspina się śmiałymi zakosami, wprawnie pokonując znaczne wzniesienia parkowych alei i zatrzymuje się na podjeździe. Jesteśmy na miejscu.

Nie udało mi się ustalić historii sanatorium „Wysoka Łąka". Gmach nie jest nowy i widać na nim liczne późniejsze przebudowy. W odróżnieniu od swego sąsiada — pięknego nowoczesnego sanatorium w Bukowcu — „Wysoka Łąka" to gmach raczej stary o czym dobitnie świadczą misterne frontony z muru pruskiego. Całość wygląda jednak przyjemnie, a poza tym wszystko kompensuje wspaniałe położenie, gmach zbudowany jest bowiem na południowym stoku silnie zadrzewionej góry, ze wspaniałym widokiem otwierającym się na pasmo Karkonoszy w którym króluje Śnieżka. W dole widać rozrzucone domki Kowar i pełznące jak gąsieniczki pociągi. Jest pięknie.

Chorzy powoli aklimatyzują się, rozpoczynają się pierwsze zabiegi, zdjęcia rentgenowskie, zakładanie odm, przepalanie zrostów opłucnych itd. itd.

Przychodzi pierwsza poczta, zawiera się pierwsze znajomości — rozpoczyna się normalny tryb życia sanatoryjnego.—W pierwszych dniach kwietnia pada śnieg. Sypie dużymi płatami. Krajobraz zmienia się na przeciąg tygodnia a może dwu na zimowy. Przez otwarte okna do pokoi przylatują sikorki i szukają czegoś do jedzenia. Na werandach chorzy leżą w futrzanych śpiworach....

*

Harmonogram sanatoryjnego dnia wygląda następująco: wstaje się o godz. 7-ej, o godz. 7.30 jest śniadanie, na które musi się przyjść umytym i kompletnie ubranym. Mężczyźni muszą się również obowiązkowo golić. Od 8.30 do 11.30 jest tzw. „głośna weranda" i od 13 do 16 „weranda cicha". Na „głośnej werandzie" wolno czytać, grać w szachy i tp. gry towarzyskie ale jedynie w pozycji leżącej. Przez cały czas głośnej werandy gra również radio. Niestety są to przeważnie audycje dla szkół i przedszkoli, to też chorzy nieraz zaciskają zęby i czekają, kiedy zamiast lekcji śpiewu usłyszą coś bardziej ich zajmującego.

Na „cichej werandzie" nie wolno robić niczego — musi się leżeć spokojnie i nie należy nawet spać.

Obiad podawany jest o godz. 12-ej a kolacja o godz. 18-ej. Cisza nocna obowiązuje od 22-ej. Raz w tygodniu chorzy mają kąpiel.

Interlokutorzy na wstępie rozmowy pytają bliźnich powracających z sanatorium o tzw. „życie" czyli poprostu mówiąc — o jedzenie Otóż karmią nas pięć razy dziennie i to wcale znośnie. Na śniadanie pacjenci dostają zupę mleczną (płatki owsiane, zacierka, kasza, czasem ryż), kawę i chleb z masłem lub ze smalcem. Na drugie śniadanie — mleko Na obiad założony z reguły z trzech dań, prawie codziennie — mięso. Mało popularny podwieczorek składa się najczęściej z kawy i bułek. Natomiast na kolację dostajemy wędlinę albo ser lub zupę, do tego rzecz jasna dołączając herbatę i chleb.

PRZEBYWAJĄCY na leczeniu pacjenci wybierają z pośród siebie „Komitet pacjentów", który jest ich reprezentacją. W Wysokiej Łące, jak podaje tradycja rozmaite bywały komitety pacjentów. Ten który był tam współcześnie ze mną nie należał do najpracowitszych, ani też do najsprawniej działających. A szkoda, bo ma on do spełnienia szereg funkcji inicjatorskich, organizatorskich, kontrolnych i wychowawczych — reprezentuje czynnik społeczny w autonomicznym sanatoryjnym życiu.

W praktyce nie było tak źle. Praca kulturalno-oświatowa koncentrowała się na kilku odcinkach: w świetlicy, w bogatej sanatoryjnej bibliotece, w gronie zapalonych szachistów, w kolegium redakcyjnym gazetek ściennych, oraz w zespole artystycznym.

To też mogli pacjenci uczestniczyć w wielkim wiosennym turnieju szachowym, słyszeli na pierwszomajowej akademii bardzo dobrze recytowane wiersze Broniewskiego i Majakowskiego a wreszcie oglądali opracowaną wspólnie z pacjentami Bukowca rewię piosenki i humoru.

Pomysł tej rewii zrodził się i dojrzał w maju jako antyteza bardzo miernych imprez „Artosu". Lekarze kiwali głowami ale pozwolili, no i rewia się udała.

*

SANATORIUM pomieścić może równocześnie 315 chorych. Przeciętny czas pobytu pacjenta w sanatorium waha się od 2 do 4 miesięcy. Sanatorium zatrudnia 5 lekarzy, część z nich pracuje jednak również w sanatorium Bukowiec lub w Kowarach, tak że na jednego lekarza przypada ponad 100 chorych.

Rozmawiam z dyrektorem sanatorium dr. Szczerbińskim, który przedstawia mi trudności na jakie napotyka w swojej pracy. O trudnościach tych słyszałem już również na naradzie roboczej personelu sanatoryjnego.



Werandowanie

fot. L. Jabrzemski

Pierwsze — to zagadnienie obsady osobowej. Sanatorium potrzebuje ludzi, zarówno lekarzy jak i personelu pomocniczego.

O ludzi jest trudno, praca wśród chorych trudna sama przez się, oraz stałe niebezpieczeństwo zarażenia się — wymagają od pracowników dużego poświęcenia, wymagają wysokiego wyrobienia społecznego.

Drugie — to zagadnienie zdyscyplinowania pacjentów. Niestety pozostawia to nieraz bardzo wiele do życzenia. Jasne, że są to raczej wypadki sporadyczne, są one za to jaskrawe, domagające się w pełni napiętnowania. Bo chory, który w czasie leczenia sanatoryjnego urządza pijatyki lub zachowuje się po chuligańsku, nie tylko szkodzi sam sobie, jest również szkodnikiem społecznym, ponieważ i sam się nie leczy i zabiera miejsce, których niestety ciągle jeszcze jest za mało — innym, równie a może bardziej jeszcze potrzebującym.

Walka z powyższym stanem rzeczy wymaga usilniej pracy społeczno-wychowawczej zarówno ze strony dyrekcji jak i ze strony właśnie Komitetu Pacjentów, o czym mówiłem już wyżej.

*

Wyjeżdżam do Krakowa z mocnym postanowieniem napisania niniejszego reportażu oraz ze świadomością, że w drobnym tylko stopniu udało mi się zbadać konglomerat problematyki i faktów, które mieszczą się poza suchą nazwą: Państwowe Sanatorium Przeciwgruźlicze — Wysoka Łąka.

Tadeusz Myślik

Dwa nurty wielkiej rzeki

(Dokończenie ze str. 8)

cy Bismarcka, Wilhelma, Hindenburga i Hitlera, krótko — niż Niemcy Kruppa, niż Niemcy pruskiej buty, ubóstwiające wojnę militaryzmu, szowinizmu i zaborczego imperializmu, myślącego o obróceniu wszystkich innych narodów w niewolników — ten nurt nie dał się całkiem zasypać.

Demokracja niemiecka nie narodziła się wczoraj.

Niemcy, to kraj pruskich bagnetów i berlińskiego powstania w marcu 1848 roku — kraj konwencji Alvenslebena, ale i kraj tych którzy przeciw niej walczyli w parlamencie — kraj żelaznego kanclerza reakcji, Bismarcka, ale i kraj wielkiego przywódcy robotniczego, Augusta Bebla — kraj Ludendorffa, ale i kraj bohaterskiego bojownika przeciw wojnie, Karola Liebknechta — kraj Hitlera, ale i Thälmanna i żołnierzy z brygady jego imienia w Hiszpanii i umierających za swoje chrześcijańskie ideały studentów z Monachium, z grupy rodzeństwa Scholl — kraj niezliczonych dywizji SS, ale i kraj batalionu karnego dla antyfaszystów nr 999 —

Nie łudźmy się zbyt łatwo. Miliony dziesiątki milionów egzemplarzy książek broszur i czasopism zatruwających świadomość Niemców skrajnym szowinizmem, nie poszły na marne... Było ich zbyt wiele i zbyt umiejętnie wyzyskiwały zewnętrzne okoliczności: najpierw zwycięstwa i rozkwit bismarkowskiej Rzeszy, potem rzekomą napaść na Niemcy w 1914 r. rzekome „krzywdy" Niemiec w czasie Wielkiej Wojny i po pierwszej klęsce okres kryzysu i bezrobocia i płacenia odszkodowań za pustoszenie cudzych ziem, wreszcie początkowe wielkie sukcesy Hitlera w pokoju i na wojnie. Mimo wszystkich zarządzeń władz okupacyjnych pozostało jeszcze w Niemczech bez miary tej trucizny a w Bonn przyprawia się wciąż nową. Niejeden z tych którzy rozpoczynali karierę podżegacza jeszcze za Wilhelma II, kończy ją już za panowania Adenauera. Sam „prezydent" Heuss stawiał wszak pierwsze kroki jako publicysta w redakcji jednego z wybitniejszych czasopism imperialistycznych w czasie Wielkiej Wojny.

Ale nie poszły na marne i obie klęski zwłaszcza ta ostatnia, która przemocą otwierała oczy każdemu kto tylko chciał widzieć. Dla ludzi uczciwych w całych Niemczech nie ma od 1945 roku wątpliwości, kto wszczął wojnę kto krzywdził w czasie wojny inne narody i kto ją w końcu przegrał ostatecznie i z kretesem, bez żadnych „ciosów w plecy".

I dlatego dzisiejszy Front Narodowy Demokratycznych Niemiec obejmuje nie tylko ludzi marksistowskiej lewicy, nie tylko socjalistów i komunistów, lecz ludzi wszelkich przekonań a jednego wspólnego przekonania: iż fałszem było, co wołano kiedyś w 1911 r., z prawicy Reichstagu podczas mowy Bebla, że: „po każdej wojnie jest coraz lepiej!".

A ponadto demokracja niemiecka zna dobrze siłę i wpływ starej trucizny. Dlatego w N.R.D. zaczęto od młodzieży, od wychowywania na nowo młodego pokolenia, najmniej dotkniętego zarazą starych nacjonalistycznych jadów.

Demokracja niemiecka nie chce i nie zamierza zrywać z narodową przeszłością — ale chce dać społeczeństwu niemieckiemu nowy obraz dziejowy tej przeszłości.

Zainteresowanie narodową historią wzrasta w obecnych przełomowych czasach w demokratycznych Niemczech — a przy tym obok nie znanych, starannie dotąd przemilczanych przez nacjonalizm tradycji postępowo-rewolucyjnych wydobywa się w nowym naświetleniu także i postacie i wydarzenia gloryfikowane dotąd w owym fałszywym tendencyjnym świetle.

Z jednej strony przeto przypomina się wielki, bojowy strajk włókienniczy w Crimmitschau w początkach bieżącego stulecia walkę Karola Liebknehta z militaryzmem pruskim, rewolucyjny — pierwszy — bunt marynarzy floty cesarskiej krwawo stłumiony we wrześniu 1917 roku czy też walki toczone przez robotniczą „czerwoną armię Ruhry" o nacjonalizację przemysłu z oddziałami reakcji w 1920 roku.

Z drugiej strony najbardziej aktualna jest tradycja tzw. „wojen wyzwoleńczych" lat 1813/14, kiedy wraz z regularnymi wojskami pruskimi i austriackimi także liczne ludowe oddziały niemieckiego pospolitego ruszenia walczyły przeciw okupacji napoleońskiej. Były to wojny zarówno rewolucyjne, jak narodowe — i tylko późniejszej polityce Metternicha, a zwłaszcza króla pruskiego udało się stłumić zawarty w nich pierwiastek rewolucyjno-postępowy.

Trzeba znać niemiecką historiografię ubiegłego półwiecza — wszystkie te dzieła, w których tendencja polityczna pływa jak oliwa po wierzchu tendencyjnych badań naukowych, w których fakty ukrywa się, przeinacza lub ustawia tak, że światło pada na nie od niewłaściwej strony — trzeba znać całą tę olbrzymią literaturę nie zawsze naukową; ale zawsze służącą określonym celom propagandowym i politycznym zaborczego nacjonalizmu, aby docenić zwrot jaki następuje w demokratycznych Niemczech ku innym historycznym tradycjom.

Tradycje te leżą w przeszłości Niemiec — i są żywe mimo wielu dziesięcioleci, w czasie których narzucono narodowi niemieckiemu wyłącznie tradycje „pełnego chwały" i „nawykłego do zwycięstw" pruskiego oręża i pruskiej polityki, która od Fryderyków i Bismarcka prostą linią wiedzie do Hitlera.

Należy pamiętać, że dzisiaj budowa demokracji niemieckiej nie przebiega drogami, które wiodły niemieckich demokratów Wiosny Ludów do całkowitego niepowodzenia, drogami bezsilnego głoszenia słusznych zasad i obawy przed zdecydowanym wprowadzeniem ich w życie. Dzisiejsza demokracja niemiecka nawiązująca do najlepszych tradycji niemieckich walk wyzwoleńczych, — gotowa jest przeprowadzić tym razem dzieło zjednoczenia Niemiec aż do końca.

Michał Jawor

Jan POGORSKI

JAPONIA PO TRAKTACIE

TRZY miesiące temu rozkołysały się dzwony kościołów i świątyń japońskiej stolicy wieszcząc ratyfikacje „traktatu pokojowego". Wielkie dzienniki tokijskie w specjalnych wydaniach objaśniały ludność że oto *w historii Japonii otwarła się* nowa era, bo kraj nasz odzyskuje niepodległość po to by żyć w przyjaźni ze Stanami Zjednoczonymi.

Ten samowolny akt polityczny rządu USA, skierowany przeciwko Związkowi Radzieckiemu i stanowiący jaskrawe pogwałcenie postanowień Międzysojuszniczej Komisji Kontrolnej Dalekiego Wschodu, nie mógł, rzecz prosta, zadowolić żadnego trzeźwo myślącego Japończyka. Zawieszenie czynności Komisji Międzysojuszniczej sprawia ponadto, że Japonia, de jure, znajduje się w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim, który nie posiada żadnego przedstawiciela w Tokio.

Symbole amerykańskiej okupacji wojskowej pozornie znikły. Główną Kwaterę gen. van Fleeta przeniesiono na peryferie miasta. Amerykańscy żołnierze, w dzień ratyfikacji traktatu, zdzierali przyszyte do mundurów okupacyjne odznaki, a że za każdą taką odznakę usłużni amatorzy pamiątek w Tokio ofiarowywali szklankę whisky, więc w samym tylko „Rocker Club" raźno przepito w ten dzień ponad 8,000 kolorowych naszywek z napisem U.S.O.F.J. (U.S. Occupation Forces in Japan).

Nazajutrz japoński parlament śpiesznie ratyfikował nowy pakt wojskowy podpisany przez rząd Joszidy ze Stanami Zjednoczonymi. Jedna z klauzul tego paktu upoważnia rząd japoński *do przywołania na pomoc amerykańskich sił zbrojnych dla ewentualnego przywrócenia porządku w kraju w razie jakichkolwiek niepokojów lub zamieszek"...*

UŚMIECHNIĘTA NĘDZA

OD PEWNEGO czasu Japończycy uśmiechają się bardziej niż kiedykolwiek. Ale uśmiechy te nie wróżą nic dobrego. Na Dalekim Wschodzie uśmiech ma bodajże odwrotne znaczenie niż w Europie a już w Japonii uśmiechają się ludzie którym się naprawdę bardzo źle powodzi.

Taki uśmiech maluje się dziś na twarzach kilkudziesięciu milionów Japończyków. Uśmiechają się kiedy są głodni. Ryżu produkuje się dziś mniej niż przed wojną a ludności przybyło ponad 10 milionów. Więc trzeba zacisnąć pasa i zadowolić się rządowym przydziałem: filiżanką ryżu na osobę dziennie i od czasu do czasu kawałkiem ryby, którą jada się na surowo, nie dlatego, żeby Japończycy specjalnie gustowali w surowym mięsie, ale po prostu dlatego że w ten sposób jest nieco więcej jedzenia.

Uśmiechają się, bo nie mają gdzie mieszkać. Piloci amerykańscy nie potrzebowali używać bomb burzących. Wystarczyło parę bomb zapalających i trochę płytek fosforowych a całe dzielnice milionowych miast gorzały jak pudełko zapałek. Japońskie domki budowane są przeważnie z dykty i masy papierowej. Nic dziwnego, że nie wiele z nich pozostało.

Ale nawet dzisiaj w Japonii są pewni ludzie wyglądający poważnie: oto naprzykład handlarze czarnego rynku i czarnej giełdy. Tym się powodzi jeszcze jako tako. Rodziny ich jedzą codziennie i do syta, mieszkają w dwuch, trzech pokojach. tylko, ilu jest takich giełdziarzy? Może kilka, może nawet kilkanaście tysięcy. Jak na naród 80-cio milionowy to doprawdy niewiele. Jest jeszcze inna kategoria ludzi która ma byt zapewniony. Są to „*pum-pum girls*" — dziewczyny pum-pum. Bo od czasu wojny oficjalnie skasowano tradycyjne „*herbaciarnie*" i domy gejsz. Są za to dziewczyny pum-pum. Chodzą po kawiarniach, restauracjach i dworcach, śpiewają amerykańskie piosenki miękkim japońskim akcentem i zarabiają często gęsto po parę dolarów a przy okazji weneryczną choroba made in USA. Jedynie ci robotnicy pewni są swej pracy którzy są zatrudnieni przy drukowaniu pieniędzy. Dla nich roboty nie zabraknie.

Ostatnimi czasy pojawiła się nowa kategoria ludzi, którzy wśród szalejącego bezrobocia i straszliwej nędzy pracującej ludności, mają zapewnione przyzwoite utrzymanie. To policjanci których liczba wciąż wzrasta, a których rząd Joszidy używa do tłumienia buntów i manifestacji robotniczych. Niewiadomo tylko jak długo jeszcze potrafią oni powstrzymać rosnącą falę oburzenia i buntu osiemdziesięciomilionowego narodu. Bo Japończyków jest dużo i są głodni.

JEST ICH DUŻO I SĄ GŁODNI.

„Azja to kontynent ogromnych rzesz ludzkich" — pisze Jean A. Keim w swej rewelacyjnej książce „Japonia w połowie dwudziestego wieku". Siedemdziesiąt lat temu Japończyków było zaledwie 35 milionów. W czterdzieści lat później liczba ta podwoiła się. Dziś na terytorium nieco większym od Polski (384.000 km²) ktrego połowa pokryta jest lasami, żyje 83 miliony ludzi.

Poziom życiowy ludności jest niesłychanie niski. Jak pisze J. Keim: *„dla przeważającej części Japończyków słowo „mięso" jest dźwiękiem pozbawionym sensu, ponieważ 90% ludności żywi się ryżem i brukwią a czasem kawałkiem surowej ryby. Ubranie jest prawie nieosiągalne. Podlejszego gatunku kimono kosztuje tyle ile wynosi trzymiesięczny zarobek przeciętnego urzędnika. Koszt koszuli lub pary spodni równa się miesięcznej robotniczej płacy. Ogólnie biorąc standard życiowy jest niższy niż przed wojną, niższy niż standard życiowy najbiedniejszego z bezrobotnych na zachodzie Europy"*.

Dwie cyfry uzupełniają straszliwy obraz warunków w jakich żyje ludność japońska. W roku 1950-tym zanotowano 300.000 legalnych przerwań ciąży a ponad pół miliona potajemnych. Ta ostatnia liczba jest prawdopodobnie dużo wyższa — stwierdza J. Keim. W tym samym roku przyszło na świat około dwóch milionów małych obywateli japońskich.

Tak więc olbrzymia większość ludności japońskiej to proletariat żyjący w skrajnej nędzy. Proletariat robotniczy i proletariat wiejski. Reforma rolna, ogłoszona w 1947 przez władze okupacyjne, sabotowana przez rząd przy poparciu tychże władz okupacyjnych i większych posiadaczy ziemskich nie odniosła pożądanych skutków. Połowa ziemi należy do drobnych rolników których działki wynoszą poniżej jednego hektara. Jeden wół przypada na trzy rodziny wiejskie, jeden koń na pięć a jedna krowa na czterdzieści. Jeden dzień pracy wołu równa się trzem dniom pracy człowieka. Jak widać więc, Japonia posiada olbrzymie rezerwy sił roboczych, które są po większej części niewykorzystane, a z których cztery piąte może żyć tylko z wielkiego przemysłu.

Produkcja i wywóz wyrobów przemysłowych jest dla Japończyków koniecznością życiową. Przed wojną około 60% eksportu szło do Azji. Rynek chiński jak zawsze chłonny nawet po wojnie pozostał naturalnym zbytem dla japońskich towarów. W roku 1949 obrót z Chinami wyniósł prawie miliard franków. W roku następnym suma ta wzrosła sześciokrotnie. Ale na rozkaz Waszyngtonu, który zastosował blokadę ekonomiczną Chin Ludowych, tranzakcje handlowe w roku 1951 między Chinami a Japonią zostały znacznie ograniczone, a ogólne sumy obrotów wyniosły zaledwie czternastą część sum z roku poprzedniego.

AMERYKAŃSKIEJ OKUPACJI BILANS

W którymś z zeszłorocznych zeszytów czasopisma „U.N. World", znana autorka książek o Dalekim Wschodzie, Pearl Buck, ogłasza kilkanaście listów, które dostała od nieznajomych ludzi z Japonii w ostatnich latach. Listy te dostatecznie malują nietylko nędzne warunki bytowania narodu japońskiego ale i stan umysłów młodszej generacji.

„Nie jestem w stanie się ożenić — pisze pewien młody człowiek — *Zarabiam bowiem zaledwie 13 dolarów miesięcznie, tak że nawet na własne, najskromniejsze utrzymanie mi nie wystarcza. Tu musi być coś nie w porządku w urządzeniu świata bo przecież pracuję uczciwie i bardzo ciężko. Zastanawiam się nad teraźniejszością i nad przyszłością i coraz bardziej zaczynam nienawidzieć tego, co nazywamy japońskim kapitalizmem.*
Nie jest komunistą, ale trudno oprzeć mi się uczuciom sympatii jakie mam dla tych ludzi starających się ulżyć naszej doli..."

Listy te nie skarżą się. Ale przebija z nich niepokój. Niepokój o przyszłość, o losy całego kraju. To też Pearl Buck tak kończy swój artykuł:

„Wiadomo że dziś w Japonii istnieje kontrola sposobu myślenia (thought control) dużo ściślejsza niż za dawnych czasów rozpanoszonego militaryzmu. Obecnie kwestia tej kontroli łączy się ściśle z problemem głodu. Zgodnie bowiem z naszą światową polityką pomagania tylko tym, którzy zgadzają się z naszymi koncepcjami ideologicznymi, okupacyjne władze Japonii zakazują, na przykład, dowozu żywności do obszarów objętych strajkami".



Policja w walce z demonstrantami pod pałacem cesarza Hirohito

Nawet powierzchowne reformy wprowadzone przez Amerykanów w pierwszym stadium okupacji są *„ruthlessly demolished"* (bezwzględnie kasowane) — jak pisze brytyjski „Statesman and Nation". Dawne wielkie trusty przemysłowe, rozwiązane przez Międzysojuszniczą Komisję Kontrolną, odżyły i tuczą się na wojnie w Korei i na zbrojeniach nakazanych przez Waszyngton, a szeroko reklamowanych przez posłuszny rząd premiera Joszidy.

STARE TRUSTY I NOWE ZBROJENIA

PRZEDWOJENNA potęga ośmiu wielkich trustów japońskich, nie spotykana nawet w krajach ultra-kapitalistycznych pochodziła stąd, że — jak pisze Renaud de Jouvenel — cały handel, finanse, flota handlowa transportu, górnictwo, przemysł chemiczny i przede wszystkim, mysł chemiczny i przedewszystkim, zbrojeniowy koncentrowały się w rękach 8 wielkich rodzin: Mitsui, Mitsubiszi, Sumimoto, Jasuda, Suzuki, Szibusawa, Asano i Akura. Ogólna suma ich zarobków rocznych sięgała za czasów wojny czwartej części całkowitego dochodu narodowego.

W chwili obecnej — tak samo jak przed wojną — trusty te, popularnie zwane w Japonii *„Zaibatsu"*, nadal odgrywają zasadniczą rolę w życiu gospodarczym Nipponu. Dzielnie sekundują im liberałowie z pod znaku premiera Joszidy. W czerwcu ustanowiono specjalną komisję dla skorygowania obecnego prawodawstwa, które jest, zdaniem rządu japońskiego, *„zbyt demokratyczne"*. Chodzi poprostu o skasowanie zdobyczy klasy robotniczej takich jak: płaca za godziny nadliczbowe, płatny urlop, ochrona pracy kobiet i nieletnich, itd. Narazie owi *„liberalni"* właściciele kopalń nadal zatrudniają szesnastoletnie dziewczyny, które przez dziesięć godzin muszą ryć ziemię prymitywnymi narzędziami za głodową płacę.

Zamiary Amerykanów są jasne. Chodzi o stworzenie z Japonii potężnej bazy przemysłu zbrojeniowego i wylęgarni najemnych żołnierzy, dowodzonych przez amerykańskich oficerów. Ale tego rodzaju zakusy na przyczłość narodu japońskiego napotykają się na zdecydowany sprzeciw nie tylko Japońskiej Partii Komunistycznej i licznych Związków Zawodowych, ale na nieufność i niechęć całego niemal społeczeństwa.

Paralelizm sytuacji między Japonią a Niemcami zachodnimi jest widoczny. I tu i tam ten sam opór elementów klasowo uświadomionych i zdecydowanych, głęboka rezerwa przeważającej części narodu i niepoczytalne wyskoki dawnych militarystów i odwetowców.

To też zbrojenia wcale nie postępują tak jak by to sobie życzono w Waszyngtonie i w Głównej Kwaterze gen. Clarka. Najlepszym dowodem tego jest ostatnia nota szefa sztabu sił amerykańskich w Japonii, gen. Hickey'a do japońskiego ministra spraw zagranicznych Okasaki, w której Amerykanin niedwuznacznie i nie przebierając w słowach żądał przyspieszenia zbrojeń i rewizji konstytucji japońskiej, *„która jako owoc kampanii demokratyzacji rozpoczętej za czasów okupacji kraju, nie odpowiada już potrzebom nowej rzeczywistości"*. Innymi słowy gen. Hickey uznał konstytucję za zbyt demokratyczną.

Pytanie tylko jak długo jeszcze naród japonki, doprowadzony do ostatecznej nędzy przez okupantów i posłuszny im rząd Joszidy, potrafi się uśmiechać. Przysłowie japońskie mówi „Kto uśmiecha się zbyt szeroko — pokazuje zęby".

Wieś i karczma

Zagadnienie walki z alkoholizmem — tak bardzo dziś w Polsce aktualne — w dużym stopniu jest utrudnione tym, że pijaństwo nie jest u nas żadną prymitywną klęską społeczną, nie jest tylko chorobą społeczną, ale jest utrwaloną w świadomości olbrzymiej ilości Polaków obowiązującą normą obyczajową.

Sam fakt, że nie ma szanującego się polskiego domu — bez względu na jego społeczne usytuowanie — w którym by jakiekolwiek święto lub uroczystość rodzinna obchodzone były bez pewnej ilości wypitej wódki łatwo uznany być może za groźny, a to z przyczyny skłonności do mnożenia wódczanych okazji i litrów alkoholu. Nie w nim jednak leży największa trudność w zwalczaniu plagi pijaństwa. Piją na świecie prawie wszędzie i gdybyśmy mieli mierzyć na głowę przeciętną ilość skonsumowanego czystego alkoholu, to mogłoby się okazać, że inne narody, używając głównie trunków niskoprocentowych ale pijąc je stale, przewyższają nas w tym niechlubnym współzawodnictwie.

Przyczyn tego poszukiwać należy oczywiście w tej obyczajowej sankcji udzielanej pijaństwu. Ma ona głębokie korzenie historyczne. Historia i anegdota dostarczyły nam mnóstwa przekazów, świadczących o nie do uwierzenia wprost wielkich możliwościach pijackich naszych przodków i pozytywnej ocenie najbardziej monstrualnych wyczynów, dokonywanych po pijanemu. Przekazy te dotyczą wyłącznie środowiska szlacheckiego, w czym niema nic dziwnego skoro przede wszystkim szlachta była podmiotem tamtych dziejów. W jakich warunkach, a w pewnej mierze i dlaczego pili chłopi, informuje nas wydana niedawno przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą książka dr Józefa Burszty „Wieś i karczma". *)

W Polsce średniowiecznej warzenie piwa i pędzenie wódki nie było wyłącznym przywilejem żadnej warstwy społecznej. Produkowano alkohol i szynkowano go zarówno we wsiach i miastach, brali w tym zajęciu udział chłopi, mieszczanie i szlachta. W miarę jednak jak chłop popadał w faktyczną niewolę dworu, produkcja i wyszynk przechodziły na wsi wyłącznie w ręce szlacheckie — były to bowiem zbyt zyskowne źródła dochodu, by dwór miał dopuszczać do korzystania z nich przez wieś, już pańszczyźnianą i poddaną. W ślad za zmonopolizowaniem produkcji i wyszynku, przy zupełnym podporządkowaniu chłopów dworowi, nastąpił faktyczny przymus picia. „Poprzez swego karczmarza pan narzucał chłopu kontyngent wódczany, za który chłop musiał zapłacić niezależnie od tego czy chciał wypić i czy wypił. Zarówno sposób ściągania pieniędzy za wódkę, jak i sposób jej narzucania były bardzo różnorodne, zależne od pomysłowości pana i karczmarza oraz od miejscowych zwyczajów. Przymus ten połączony bywał zwykle z innymi, mianowicie z zakupywaniem we dworze innych towarów oraz z przymusem sprzedawania dworowi zboża po ustalonej przez dwór cenie".

W ustroju pańszczyźnianym karczma wiejska nie była tylko jednym z narzędzi wyzysku wsi przez dwór, lecz pełniła również ważną rolę społeczną.

„Poprzez karczmę uzyskiwał chłop gotówkę za wykonaną pracę i za sprzedane za pośrednictwem karczmarza własne, produkty. W karczmie i poprzez karczmę pozbywał się chłop tej gotówki, kupując dostarczone przez pana towary i pańskie trunki... (Karczma)... będąc instytucją najsilniejszego wyzysku zaspokajała równocześnie bodaj wszystkie społeczne i kulturalne potrzeby ówczesnych chłopów a zarazem wiązała się ściśle z ich życiem psychicznym".

„Karczma była miejscem, gdzie wydawano na chłopów surowe wyroki, ogłaszano ustawy, stąd chłopami rządzono i regulowano ich życie, a równocześnie była miejscem bezrządu, najdalej idącej chłopskiej swawoli i fantazji".

„W karczmie i poprzez karczmę chłopi dochodzili do świadomości społecznej, do klasowego spojrzenia na istniejący porządek społeczny, tu podniecali się do buntu, tu organizowali się przeciw panom. W tej samej jednak karczmie chłopi zostawali politycznie ogłupiani, rozbrajani ideologicznie w niewidoczny a skuteczny sposób, tu oskarżali się nawzajem i wydawali się panom i ich urzędnikom. Na tym miejscu jednoczyła się cała wieś bez różnicy klas, a równocześnie tu wychodziły na widownię istniejące klasowe przedziały ówczesnej wsi".

„Karczma spełniała równocześnie szereg najróżniejszych i wzajemnie sprzecznych funkcji, które dzisiaj spełnia szereg odrębnych instytucji, jak: restauracja, szynk, hotel, świetlica, klub, stowarzyszenie, dom gry, bank, kantor, kino, radio, gazeta, książka itd".

Książka dr Józefa Burszty napisana jest ciekawie i przystępnie. Warto jest ją przeczytać.

Kw.

*) Dr Józef Bursztą „Wieś i karczma". Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1951, str. 218.

«DROGA DO CZARNOLASU»

Temat historyczny, zwłaszcza jeśli nie chce się go ująć w sposób ideowo obojętny i czysto estetyzujący, na pozór tylko wydaje się „łatwiejszy“ od współczesnego. Właśnie omijanie i przezwyciężanie rozmaitych łatwizn, jakie nasuwa temat historyczny, bywa niekiedy trudniejsze aniżeli porwanie się na świeży temat z dnia dzisiejszego.

Na kilka zasadzek tematu historycznego zwrócił w związku z prapremierą „Króla i aktora“ Brandstaettera-uwagę Edmund Misiołek (Dz. i J“ 27/52) pisząc o „deklaratywizmie ex post, pokusie przesadnej aktualizacji, łatwiźnie apriorycznych syntez historycznych“. Innym błędem bywa tworzenie obrazów historycznych, pełniących jedynie funkcję ilustrowania określonej tezy społecznej, obrazów zatem artystycznie niesamoistnych Istnieje wreszcie niebezpieczeństwo jeszcze może istotniejsze: Temat historyczny. zwłaszcza gdy wprowadza na scenę rzeczywiste, wielkie postacie przeszłości, ma skłonność zwalniać niejako twórcę z rygorów fikcji literackiej, uprawniać do rezygnacji czy tylko zaniedbania konstrukcji dramatycznej. Zamiast dramatu powstają wówczas luźne sceny dramatyczne, wariacje na temat ukazywanej postaci, wariacje. których tworzywem bywają własne jej, historycznie potwierdzone wypowiedzi. Twórcze dzieło, jakim powinien być dramat, staje się historyczną kompilacją. powiązaną — zamiast akcją dramatyczną — dowcipem point, sentymentem i nastrojem, aktualistyczną publicystyką i ubogą dydaktyką. Jawią się cechy jakiegoś wyczerpania twórczego, przeżuwania jedynie i komentowania dawnego dorobku, trochę inaczej tylko naświetlanego. Brak najwyższej ambicji artystycznej — oto chyba główne zło, ku któremu popycha czy je tylko odsłania zbyt powierzchownie pojęty . temat historyczny.

Myśli takie nasuwa w pewnym stopniu nawet „Droga do Czarnolasu“, piękna rzecz poety o poecie, dramat wierszem **Aleksandra Maliszewskiego**, wystawiony w reżyserii **Erwina Axera** w Teatrze Współczesnym.

„Droga do Czarnolasu“ stanowi niewątpliwie znakomitą robotę poetycką, zdradza nieprzeciętne wyczucie historyczne i kulturę języka, wspaniale wprowadza w atmosferę poezji Kochanowskiego, z której licznymi wyjątkami stapia się wiersz Maliszewskiego prawie do niepoznania. (Nie znaczy to, że należałoby szerzej polecać tego rodzaju poetycki proceder). Autor umiał nam sugestywnie narzucić własną, szczerze przeżytą, aktualizację Kochanowskiego.

Niewątpliwie, aspekt terrestryzacyjny i liberalistyczny poezji Kochanowskiego ujął Maliszewski, jak tu np.:

„Już gdzieniegdzie człek raźnie
wychynął do życia,
by po ziemsku ułożyć swoje
ziemskie losy...“
„Ale to, Anno, szczęście bez
granic —
bić się o wolną myśl dla człowieka“

raczej w kategoriach współczesnych naszemu pokoleniu, aniżeli pokoleniu wielkiego poety. Lecz wkładając w usta Kochanowskiego słowa gorzkich refleksji nad świecką polityką Kościoła i kleru w dobie reformacji; nad obłudą i egoizmem szlachty, uchwalającej podatki pro publico bono, lecz zwalającej je na łany chłopskie; nad pchającymi do wojen apetytami wielmoży na ziemie kresowe — przypisując te myśli Kochanowskiemu i każąc mu przeciwstawiać im własną wizję świata bez antagonizmów i wyzysku, świata pokoju, rozumnej twórczości, poetyckiej kontemplacji — Maliszewski uzyskuje jakiś ton bardzo szczery i szlachetny, ton humanistycznej żarliwości, prawdziwie godny poety i poezji. Słuchając pięknego wiersza Maliszewskiego, inkrustowanego kruszcem czarnoleskm, czujemy, jak ponad sprzecznościami epok unosi się poprzez wieki to samo arkadyjskie „sileant arma“, wezwanie do porzucenia zbrodniczych narzędzi, do zgody i z ducha płynącego pokoju. Maliszewski upatruje w tym jakby właściwe posłannictwo liryki i daje w wypowiedziach Kochanowskiego piękną apoteozę roli poety. Takiemu aktualizmowi nawet w najwyższej sztuce poezji przyznać chyba można znaczenie trwałe.

A przecież doceniając te wszystkie piękności wracaliśmy w czasie spektaklu w Teatrze Współczesnym stale do pytania o rodzaj artystyczny utworu. Czy był to dramat? I czy trzeba było aż widowiska scenicznego dla przekazania dzieła Maliszewskiego? Wątpliwości te nurtowały zapewne i reżysera i **Erwin Axer**, jak można wnioskować, pogodził się z tym z góry, że „Droga do Czarnolasu“ nie stanie się niczym więcej niż dość powierzchownie uscenicznionym poematem. Trudno też dziwić się w tym wypadku, że reżyser nie posłuchał rady ex post krytyka, aby ożywić tempo przedstawienia. Ożywić i przyśpieszać poemat — ku czemu? Ku zwrotom akcji, które są tak wątłe, że ich prawie nie ma? Axer dał więc raczej powieść poetycką na scenie, powieść o Kochanowskim sprzed Czarnolasu, o szczęśliwych zawodach majątkowych, publicznych, uczuciowych, które skierowały go na drogę natchnionej twórczości.

Oczywiście, ujęcie Axera uchroniło tylko od gorszego zgrzytu artystycznego, jakim byłoby forsowanie dramatu, dla którego brak podstaw w akcji długich, aż rozwlekłych trzech aktów. Interesujące widowisko sceniczne stworzyć tu było niesposób. Kilka sytuacyj, niezawsze może wyzyskanych, piękno wiersza i podawanych nim myśli, koloryt epoki — to było chyba wszystko, co można było z utworu wydobyć. I to osiągnięto w stopniu raczej tylko zadowalającym. Poprawne jedynie wydawały się tym razem dekoracje **Ottona Axera**, nawiązujące, może najszczęśliwiej w III obrazie do polskiego renesansu (lepsze kostiumy); wcale na miejscu, choć nieco skąpa muzyka **Witolda Lutosławskiego**; poprawną wreszcie — gra zespołu aktorskiego. Znamienny brak zdecydowanych ocen w recenzjach prasowych oddaje chyba ogólne wrażenie ostatniej premiery we Współczesnym.

Marian Wyrzykowski grał na pewno wytrawnie, rozwinął wcale szeroki wachlarz odcieni, pięknie mówił wiersz (gorzej na ogół reszta zespołu). Dobrze znany z Krakowa, **Tadeusz Białoszczyński** stworzył prawdziwą postać możnowładcy, przyczajonego warchoła. **Janusz Jaroń** był interesującym klerkiem epoki humanizmu. Lecz poza tym? **Henryk Borowski** ujął już nieco z sienkiewiczowska i może jako zbyt naiwną rolę stryja. **Leon Ordon** znowu był Gąską raczej szekspirowskim i dość stereotypowym. **Zofia Mrozowska** na pewno nie będzie nigdy grała naiwnych dziewcząteк. A reszta? — to albo poziom poprawny, albo postacie nie do końca wcielone w tamtą epokę Najwięcej mogła się chyba podobać **Barbara Drapińska** jako wojewodzianka Hanna, uczona białogłowa, entuzjastka obcej poezji. Rzadko słyszy się w ogóle ze sceny wiersz łaciński — Drapińska mówiła ten wiersz. jak zresztą i polski. pięknie i z pełną inteligencji precyzją.

Andrzej Odnowa

WYŚCIG POKOJU

FILM DOKUMENTALNY

MIĘDZYNARODOWY Wyścig Kolarski Warszawa — Berlin — Praga był jedną z najbardziej udanych tegorocznych imprez sportowych. Wyścig ten wzbudził zainteresowanie nie tylko wśród entuzjastów kolarstwa ale dosłownie wszystkich. Dowiodła tego publiczność na trasie wyścigu, symbolizującego braterstwo trzech stolic. Sprawozdania radiowe z poszczególnych etapów. dokładne opisy i wywiady prasowe, zapoznały nas dość dokładnie z całością wyścigu, który był jednocześnie wielką manifestacją pokojową.

Wyobrażaliśmy sobie, że film dokumentalny obejmie wszystko to co słyszeliśmy o wyścigu z prasy, z radia, że będzie pewnym ujęciem całości zaspakajającym powszechne słuszne zainteresowanie. Wydawało by się, że powstanie takiego filmu jest sprawą prostą. Okazało się jednak, że dokumentacja filmowa popularnej imprezy kolarskiej wymagała także od realizatora głębokiego wysiłku twórczego, wymagała skomplikowanej i trudnej pracy.

Film „Wyścig Pokoju” który wszedł ostatnio na nasze ekrany nie jest tym czego oczekiwaliśmy. Wydaje się, że twórcy przystępując do pracy nie mieli żadnej artystycznej koncepcji ani scenariusza. Film dokumentalny nie może być tylko zanotowaniem na taśmie filmowej chaotycznie wybranych urywków wyścigu — takie przypadkowe ujęcie zagadnienia pozostawmy kronice filmowej. Zwykłe zarejestrowanie wydarzeń w filmie dokumentalnym który ma nam pokazać jakąś określoną całość jest nudne, w tym wypadku i męczące, gdyż głównym wydarzeniem stale rejestrowanym przez operatora jest jazda na rowerze. Widzimy więc na barwnej taśmie filmowej jadących kolarzy, jadą tak niestety całą godzinę (tyle trwa film). Życie w ten sposób fotografowane nie daje widzowi żadnego wyobrażenia o rzeczywistości a staje się jedynie bezustannym, męczącym miganiem barwnych punkcików na ekranie.

Film dokumentalny to też dziedzina sztuki — dowodem tego jest choćby ostatnio zrealizowana przez polskich dokumentalistów „Warszawa”. Mamy więc prawo wymagać od twórcy i tego filmu, artystycznego przetworzenia rzeczywistości, domagać się ogólnej twórczej koncepcji filmu, oczekiwać nie tylko zlepienia razem pewnych wydarzeń, ale dostarczenia widzowi artystycznej i tematycznej syntezy. Jest wiele metod pokazania prawdy o rzeczywistych ludziach i wydarzeniach z pewnej perspektywy czasu, ale trzeba mieć wogóle jakąś metodę.

Jeśli przyjmiemy że w filmie tym wybrano metodę opisowo-reportażową, to uznamy, że sposób wykonania jest płytki, film realizowano nie wyciągając żadnych wniosków, dosłownie pokazano samą powierzchnię zagadnienia. Cóż że widzimy jadące rowery, jeśli nie wiele wiemy (pomijam nasze wiadomości z prasy i radia) o ludziach, którzy na nich jadą — widzimy poprostu sylwetki ludzi kręcących pedałami, których doprawdy trudno rozróżnić, mimo że w komentarzu czasami padają ich nazwiska.

Rola komentarza w filmie dokumentalnym jest wielka. Komentarz ułatwia prace dokumentaliście, interpretacja słowna obrazu podnosi jego wymowę. W tym wypadku zawiódł i komentarz — jest to konsekwencja braku koncepcji całości.

Film „Wyścig pokoju" nie jest tym czégo oczekiwaliśmy, chociaż sama atrakcyjność międzynarodowej imprezy dodała blasku tej przedłużonej kronice wyścigu. Dobrze, że Wyścig Pokoju stał się już tradycyjny — będzie więc znowu okazja do wykorzystania obecnych doświadczeń aby stworzyć naprawdę dobry reportaż filmowy z tej emocjonującej i popularnej imprezy.

L. GIEL

BIAŁOGĘBY

Arvind nie bardzo wiedział. Zapamiętał sobie tę nazwę z jakiegoś obiadu w Tadż Mahal Hotel, gdzie go wyciągnął tumanowaty syn bankiera, żeby mu napisać ściągawkę do egzaminu. Ale wtedy nie jedli melby, kosztowała siedem rupii. Tuman sądził chyba, że zbyt drogo, jak za ściągawkę, Arvind nie był na tyle bezczelny żeby proponować.

— To taka ryba. Z Oceanu Lodowatego. Łapią ją na końcu świata.

— Żeby się nią raz wreszcie udławił — mruknął Białogęby.

Zupa była rzeczywiście wyśmienita. Gdyby tak urządzić konkurs kulinarny między matką Pardesi a matką Shima, wcale nie przesądzone kto by go wygrał. Chwyciwszy na język ostatnią, przesmaczną kropelkę, Arvind otarł dłonią usta. Białogęby tak robił i wszyscy wokół, dlaczegóżby on miał używać chusteczki. Poszukał oczami swojego frencza. Wisiał z tylu, na belce. Arvind sięgnął ręką. Wyjął gazetę.

— Poczytamy.

— Dobrze — powiedział Białogęby. — Ja przez ten czas obiorę manga.

„Rozruchy w Kalkucie“. No, tam to cholerny kocioł, zawsze coś kipi. „Wojska japońskie na granicy Birmy i Hindustanu“. Szybko idą. Dalej w tym tempie, a za rok, kto wie, co będzie. „Kongres przed powzięciem doniosłych uchwał“. To trzeba później przeczytać, robi się gorąco. „Zabawa na politechnice“, „Dziecko w starym zbiorniku“, Katastrofalny stan kanalizacji miejskich“, „Kto będzie śpiewał jutro w Astarii?. „Wizyta maharadży Kolhapur“, „Co z szaletem przy ulicy Króla Jerzego?..

Arvind roześmiał się. No, za ten tytuł ktoś pójdzie do ciupy.

Białogęby podsunął mu, pachnące żywicą. soczyste mango.

— A o moim synu, nic tam nie piszą?

Arvind przebiegał oczami kolumny, aż wyłowił złożony drobną czcionką: Kair.

— Jakoś nic nie widzę — mruknął, czytając szybko, w milczeniu.

„Według oficjalnych doniesień, na całym froncie toczą się zacięte walki. Wspaniałej postawie wojsk angielskich. hinduskich, francuskich i polskich, należy zawdzięczać dotychczasowe zatamowanie drogi na Kair. Straty znaczne. Szczególnie w oddziałach wojsk kolorowych“.

Ciąg dalszy ze str. 7

— Jest coś i dla was. Posłuchajcie.

Czytał:

„Kair. 7 sierpnia. Według oficjalnych doniesień, na całym froncie trwa już blisko dwutygodniowe zawieszenie walk. Spodziewane jest wycofanie się wojsk hitlerowskich, zdziesiątkowanych ostatnią kontrofensywą“...

Białogęby mlaskając, zaczął oblizywać dużą pestkę mango. Owoc był w dobrym gatunku, bez włókien i dosłownie rozpływał się w ustach.

— Jak myślisz, Arvind, długo jeszcze tej wojny?

— To zależy... Trudno w tej chwili powiedzieć. Jedno pewne, że dostaną w skórę. Skoro poszli na Związek Sowiecki... To nic, że teraz pchają się naprzód. Wylecą stamtąd z połamanymi zębami, Jak dwa a dwa — cztery. Tylko kiedy?

Pracze kończyli obiad. Czknąwszy głośno wytrząsali palcami okruszyny z zarośniętych piersi. Ucichał gwar i szczęk misek. Białogęby wypłukał naczynia.

— Ułóżmy bieliznę do wysuszenia. Machnąłeś ze sto kawałków, zupełnie dobrze, jak na pierwszy raz. Zarobiłeś siedem rupii i sześć ann dla siebie, dwie rupie i dziesięć ann dla Gopala. Tylko, żeś wszystkie guziki strzaskał, co do jednego. Ale nic, nauczysz się... Z klientami jakoś sobie poradzę.

Arvind odetchnął z ulgą, przeciągnął się, był zadowolony. że już dzisiaj nie będą więcej prali. Można było skonać przy tej robocie. Wstając czuł jak mu kości trzeszczą.

Rozłożyli bieliznę wzdłuż kilkunastu metrów chodnika, reszta zawisła na czterech sznurach, należących do Białogęby.

— Uważaj, żeby nie pofarbować. Osobno brązowe, osobno niebieskie. osobno białe.

Z miejscem był kłopot. Wszędzie ciasno. Dwadzieścia par skarpetek trzeba było położyć na piasku.

— Nic im nie będzie — zawyrokował Białogęby. — No, skoczyliśmy. Dopiero część roboty widziałeś. Zaraz zaczniemy tych parę nowych tłomoczków. Najpierw bierzesz kawałek po kawałku, moczysz kładziesz na beton. pociągasz szarym mydłem, aż się wetrze tak solidnie później na słońce, żeby brud zasuszyło, i do pieca na noc, rano wyjąć, wyprać, opłókać w bielidle albo w farbce, przesuszyć, zakrochmalić i odprasować.

Arvind liczył na palcach: pociągnąć mydłem, do pieca, opłókać, na słońce, wetrzeć, krochmalić... Coś nie tak.

— Palców ci nie starczy — zaśmiał się Białogęby. — Bierz ten tłumok, ja tamte.

Wieczorem załadowali buttee. Piec jest gliniany, duży, zdolny pomieścić kilku ludzi. Pod podłogą ma ogromny kocioł, w którym woda wrze całą noc. Para szczelinami przedostaje się do wnętrza Prawidłowe ułożenie bielizny wymaga szczególnej wprawy, gdyż brud, ściekając nasyca najniżej leżące „kawałki“. Białe muszą leżeć zawsze na wierzchu, kolorowe na spodzie. Potem piec się zamyka. Trzeba równomiernie podkładać drzewo. Wystarczy zdrzemnąć się trochę, a już coś się spaliło, albo przypiekło, albo cały ładunek sprytnie wyniósł złodziej.

— Mnie tylko raz z trzy tuziny sztuk gwizdnęli — przyznał się niechętnie Białogęby. — Zaraz po ślubie. Nie spałem całą noc. Na dzień poszedłem do roboty, wieczorem załadowałem piec. Siedzę, łeb mi się kiwa. Zasnąłem. No, i po wszystkim. Parę sztuk zostało, ale przypiekły się fest. Nawet złodziej nie chciał brać. No, jak się ta paniusia do mojej skóry dorwała! myślałem, że mi oczy wydrapie. Ale tylko wytłukła mnie głową o ścianę, Jej mąż trzymał za nogi. No, bo też i mieli o co.

Arind śmiał się.

— Zostanę z wami na noc. Pozwólcie. Nieraz się siedziało do rana, nad książką. Nie zasnę.

— No, jeśli tak bardzo chcesz. Tyle, że jutro od południa znów do roboty. Dasz radę?

— Spróbuję.

— Dobra. Za jakąś godzinkę Sanni przyniesie nam coś do zjedzenia.

Jak okiem sięgnąć płoną ognie na Mahalakshmi ghat. W zacisznych kręgach ciepłego światła siedzą zmęczeni ludzie. Ich ciała połyskują różowo. Noc wokół nich jest chłodna, leciutki wiatr pachnie morzem. W kotłach bulgocze woda. Ktoś nuci sennym głosem, równie drzemiąco i smętnie towarzyszy mu trzystrunna vela. Mahalakshmi ghat — największa pralnia Bombaju.

(Dokończenie w następnym numerze)

Redaguje zespół.
Prenumerata miesięczna 1,80 zł Kwartalnie 5,40 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 880.71.880.26.
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam. 2681. 3-B-25050